Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

ROK X. Warszawa, 11 lipca 1954 r. Nr (450) 28

ZBIGNIEW CZAJKOWSKI

Prometeusz wyzwolony

DZIEŃ 27 czerwca 1954 roku przejdzie do historii cywilizacyjnej świata. W tym bowiem dniu rozpoczęła swą pracę pierwsza na świecie elektrownia przemysłowa o napędzie atomowym zbudowana w Związku Radzieckim. Moc użytkowa tej elektrowni będącej prototypem dalszych, znacznie silniejszych, wynosi 5 tysięcy kilowatów, lecz już w najbliższej przyszłości, jak informuje o tym komunikat Rady Ministrów ZSRR, zostaną wybudowane następne elektrownie o napędzie atomowym o mocy od 50 tys. do 100 tysięcy kilowatów.

Wiadomość o tym wydarzeniu obiegła już cały świat. Efekt społeczno-polityczny tej krótkiej, lecz tak ważkiej w swej treści informacji jest znacznie silniejszy, niż skutki i następstwa gospodarcze tego faktu. Trudno jeszcze zorientować się w skali i skutkach gospodarczych tego wydarzenia. Wystarczy tylko przytoczyć przykładowo, że reaktor atomowy do wytwarzania mocy stu tysięcy kilowatów potrzebowałby zaledwie 36 kilogramów uranu, a energia powstała na skutek spalenia 1 2000 ton węgla kamiennego mogłaby być zrównoważona procesem rozszczepienia jądra atomowego niewielkiej, półkilogramowej grudy uranu. Liczby te sygnalizują tylko w sposób bardzo ogólny ogromne oszczędności, jakie można będzie zastosować w gospodarce surowcami mineralnymi, w zmianie ich wykorzystania, wydobycia, przetwarzania. Niewątpliwie, że uczeni radzieccy, którzy uruchomili pierwszą elektrownię o napędzie atomowym, nie poprzestaną na tej tylko formie ujarzmiania i pokojowego wykorzystywania energii atomowej. Najprawdopodobniej po tym pierwszym, praktycznym sposobie zastosowania energii atomowej do produkcji energii elektrycznej zadziwią nas innymi jeszcze sposobami wykorzystania jej w służbie człowiekowi, dla jego rozwoju i zaspokojenia potrzeb. Stoimy jeszcze przed wielką niewiadomą nieograniczonych możliwości działania tej energii i jej skutków gospodarczych, przewrotu w technice i nauce, jej służebności człowiekowi. Stoimy u progu drugiej Rewolucji Przemysłowo - Technicznej, która w porównaniu z pierwszą Rewolucją Przemysłową, opierającą się 185 lat temu o wynalazek maszyny parowej, może zadziwić nas nieograniczoną skalą swych możliwości.

Natomiast znacznie dokładniej od skutków gospodarczych tego wydarzenia możemy mówić o jego efekcie społeczno - politycznym. Po prostu przez świat wionął nowy oddech; oddech, w którym z wyrazem „atom", „atomowy" nie jest związany wyraz — „śmierć" ani „bomba".

Dotychczas propaganda amerykańska darzyła cały świat komunikatami o śmiercionośnym charakterze energii atomowej, o doświadczeniach z bronią atomową i wodorową, o wybuchach bomb na Oceanie Wielkim, o ich sile promieni niszczenia, radioaktywnym działaniu. W komunikatach tych konsekwentnie usiłowała propaganda amerykańska realizować dwa cele: stosować metodę zastraszenia — ukazując potworność zniszczenia po wybuchach bomb wodorowych — oraz wpajać przekonanie o priorytecie siły zniszczenia energii atomowej nad jej wartością twórczą.

Okazało się jednak, że świat nie jest tak naiwny jak sobie wyobrażają amerykańscy politycy — „atomolodzy".

Metoda zastraszenia może być skuteczna wtedy, ale i to nie zawsze, gdy tylko jedna z przeciwnych sił wyłącznie dysponuje nową, śmiercionośną bronią o wielkiej skali zniszczenia. „Tajemnica" broni atomowej przestała być już dawno tajemnicą. Metody straszenia i próby wywoływania psychozy lęku przed niszczycielskimi skutkami bomb wodorowych powodują wręcz odwrotny i niezamierzony skutek. Zamiast bowiem obawy — rodzi się nienawiść i odraza. Pamiętamy dobrze, jak wielkie i powszechne oburzenie wywołały niedawne amerykańskie doświadczenia z bombą wodorową na Eniwetok, w wyniku których ofiarami porażeń padli japońscy rybacy. Pamiętamy też dobrze i inne jeszcze metody amerykańskie — sabotaż i sławny fundusz 100 milionów dolarów na akcję dywersyjną w krajach socjalistycznych, propagandę „krucjaty" przeciw komunizmowi i wojnę na Korei. Ostatnią próbką tych metod była akcja gwatemalska.

Uruchomienie pierwszej radzieckiej elektrowni o napędzie atomowym podważyło również i drugi cel propagandy amerykańskiej. Energia atomowa została ukazana jako nowe, prometejskie światło, niosące ogromne, pokojowe możliwości budowy, tworzenia, rozwoju; energia ta zastosowana przez uczonych radzieckich na razie do produkcji energii elektrycznej a w niedalekiej przyszłości prawdopodobnie i w innych formach, stała się jasnym drogowskazem rozwojowym ludzkości, ukazała nowe możliwości techniczne, pozwoliła praktycznie udowodnić słuszność ludzkich obliczeń. Dzień 27 czerwca 1954 roku stał się jeszcze jednym dniem triumfu ludzkiej nauki. Przyszłość pokaże, czy dzień ten jest równy dniu, w którym została skonstruowana pierwsza maszyna parowa, czy też będzie dniem jeszcze bardziej pamiętnym. Abstrahując od tych rozważań można stwierdzić, że jest to dzień oczywistego triumfu idei nauki i postępu nad propagandą śmierci.

DWIEŚCIE lat temu została zbudowana pierwsza maszyna parowa. Rok 1769, w którym Watt opatentował wynalazek maszyny parowej, można uznać za jedną z przełomowych dat w rozwoju techniki i historii gospodarczej świata. Wspaniały ten wynalazek umożliwił niezwykle szybki rozwój przemysłu i komunikacji; dzięki niemu w ciągu następnych lat świat cały opasała sieć dróg żelaznych, w wielu krajach powstały silne ośrodki przemysłowe. Jednym z najbardziej poszukiwanych surowców stał się węgiel, którego wydobycie wzrosło w ciągu stu lat przeszło stokrotnie. Był to okres, który wielu nazywało Rewolucją Przemysłową, umożliwiającą człowiekowi wykrycie i poznanie praw nauki i znaczne podporządkowanie sił przyrody ludzkiej woli. Rewolucja Przemysłowa była jednym z zasadniczych czynników, dzięki którym kapitalizm osiągnął szczyt swego rozwoju.

Nie zawsze jednak rozwój nauki i techniki szedł w parze z rozwojem odpowiedzialności moralnej za wykorzystanie postępu w nauce. Nie zawsze prawa nauki były sprowadzane do prostej, wydawałoby się, humanistycznej funkcji służenia człowiekowi. Genialny wynalazek maszyny parowej, tak jak i setki innych późniejszych wynalazków stały się w rękach nielicznych ale w pewnym okresie uprzywilejowanych grup ludzi narzędziem krzywdy społecznej. Niesposób nazwać szczęśliwymi ludzi, którzy zostali zmuszeni do pracy przy tych właśnie maszynach po czternaście, piętnaście a nawet i więcej godzin na dobę. Trudno jest uznać wynalazek maszyny parowej za służebny ludzkości, gdy zatrudnieni przy ich obsłudze robotnicy ginęli z wycieńczenia i głodu, a pracujące w fabrykach pięcio i sześcioletnie dzieci były już z góry skazane na pożarcie przez fabrycznego Molocha.

Lecz nie należy winy za cierpienia mas pracujących przerzucać, jak to robił ruch „maszynoburców" na maszynę, na narzędzia postępu technicznego. Nie należy obarczać winą idei poszukiwań naukowych. Winę ponoszą ci, którzy niewłaściwie, egoistycznie wykorzystali osiągnięcia naukowe, sprzęgli je z systemem indywidualnego przywłaszczania, przemienili je w źródło swego bogactwa, zysku i wyzysku.

Rewolucja Przemysłowa XVIII i XIX wieku w sposób decydujący wpłynęła na rozwój kapitalistycznej gospodarki. Równocześnie z procesem dojrzewania kapitalizmu obnażyła wszystkie jego wady i sprzeczności, ukazała krzywdę społeczną mas i egoizm klasowy posiadaczy. Czasy się jednak zmieniają. Wraz z postępem technicznym dojrzały też w swej świadomości masy ludzkie, dotąd upośledzone i krzywdzone. Kapitalizm nie reprezentuje dzisiaj jedynej siły, która mogłaby przychwytywać dla swych wyłącznie korzyści wspaniałych osiągnięć nauki ludzkiej, przeznaczonej celom twórczym, pokojowym. Na przeszkodzie temu stoi nowy świat, nowe warunki społeczno-gospodarcze; na przeszkodzie temu stoją państwa i narody, w których dojrzewa inna, przeciwna egoistycznej i klasowej ideologii myśl wspólnego korzystania z dóbr materialnych ziemi, z twórczych opracowań naukowców, z ich odkryć i wynalazków. Dlatego też w tym nowym ustroju, którego troską jest dobro człowieka, buduje się najbardziej precyzyjne i nowoczesne fabryki i maszyny, służące potrzebie ludzi. Opracowuje się metody zwiększania plonów z ziemi i przesunięcia jak najbardziej na północ granicy uprawy zbóż, nawadnia się pustynie i buduje wspaniałe uniwersytety, otacza się opieką kulturę fizyczną ludzi i buduje elektrownie o napędzie atomowym.

Mityczny Prometeusz, którego przykuto do skały za przestępstwo kradzieży ognia, został wyzwolony, a światło ognia prometejskiego dostało się w ludzkie ręce.

SŁAWOMIR BŁAUT

KSIĄŻKA DZIESIĘCIOLECIA

Kazimierz Brandys

O NOWEJ powieści Kazimierza Brandysa mówiono i pisano sporo, zanim jeszcze ukazała się w wydaniu książkowym. Już pierwsze jej rozdziały, publikowane w „Twórczości", mocno chwyciły czytających, zainteresowały typem zarysowanych konfliktów, sylwetkami bohaterów, obfitością realiów, zręcznie prowadzoną akcją. Każdy kolejny odcinek „Obywateli", oczekiwany niecierpliwie, z niepokojem, potwierdzał nieśmiałe zrazu przypuszczenia i nadzieje, że może w tej właśnie książce prawda naszych czasów znajdzie należny sobie wyraz.

Przed kilku miesiącami dobiegł końca druk powieści w „Twórczości", „Czytelnik" wydał ją w bardzo wysokim, bo czterdziestotysięcznym nakładzie. „Obywatele" — choć nie wypowiadano samych tylko pochwał pod ich adresem — zyskali sobie zgodną na ogół, a w pełni zasłużoną opinię najlepszej książki o tematyce współczesnej, a nawet najwybitniejszego — obok „Pamiątki z Celulozy" — osiągnięcia literatury realizmu socjalistycznego w Polsce. Ukazują nam oblicze współczesności, którego dotąd nie znali. Odkrywając ludzką treść rewolucji, śledzi autor „Miasta niepokonanego" jej różne drogi we wnętrzu swych bohaterów odległych od poprawnościowego wzorca, jaki w ubiegłych latach zwichnął niejedno zamierzenie pisarskie zaludniając wiele utworów korowodem bezbarwnie podobnych do siebie, nijakich a irytująco „prawdziwych" manekinów. Zła powieść współczesna tak dalece pochłonięta była beletryzacją osiągnięć naszego przemysłu czy budownictwa, że nikł przy nich, gubił się człowiek, pasowany milcząco na wtórny, uboczny produkt rewolucji. Wielu pisarzy tak dalece olśniło odkrycie powiązań losów ludzkich z ich społecznym i historycznym kontekstem, powiązań często przedtem niezauważonych, lekceważonych, że przyjęli je jako jedyny, a w dodatku mocno uproszczony wyznacznik. W złych powieściach współczesnych różni ludzie przeżywali to samo i tak samo, tak bowiem dyktowała rzekoma prawidłowość; rytm produkcji z wielką ścisłością odmierzał rytm przemian psychicznych. Bohater zmieniał się, rósł, dojrzewał na marginesie lub w cieniu każdej położonej cegły, nowej szczepionki, dodatkowego kilograma cukru czy węgla. Wstydliwie i nieśmiało brzmiało tam słowo: człowiek. W „Obywatelach", śmiałej, uczciwej książce, występuje kilkadziesiąt postaci o różnych postawach filozoficznych, różnych przekonaniach politycznych, różnej wartości moralnej. Każdemu z bohaterów — myślę tu, oczywiście, przede wszystkim o kilku głównych, na których koncentruje się zainteresowanie i pisarza, i czytelnika — daje Brandys odrębny porządek psychiczny, stwarza własny świat przeżyć, pozwala po swojemu czuć i myśleć, cieszyć się i martwić, szukać, wątpić, błądzić, zdobywać. Czyni ich prawdziwymi ludźmi. Chociaż nie podobało się to niektórym dyskutantom z „Twórczości", domagającym się od autora, by nie pozwolił mylić się i popełniać błędów swym pozytywnym bohaterom, by nie mącił ich nieskazitelnej doskonałości — rzekomo koniecznej w literaturze socjalistycznej, mimo że nie spotykanej w życiu — właśnie ta głęboka prawda spraw człowieczych stanowi wielką zaletę „Obywateli". Brandys odwraca, a raczej przywraca właściwy sens słusznej, lecz skażonej przez schematyzm zasadzie prawidłowości. Los ludzki w jego powieści jest niewymierny; wspiera się o historyczno-społeczne uwarunkowania, ale się w nich nie wyczerpuje. Człowiek poddany jest prawom wielorakim, złożonym, ale nie tylko historia go kształtuje, ale i on — choćby w wąskim, dostępnym sobie zakresie — historię; ograniczony przez nią, przecież swym życiem kieruje, nadaje mu własny bieg, wykorzystuje dane sobie możliwości. I to, że bohaterowie „Obywateli" mają odwagę być sobą, że mają osobisty stosunek do własnego życia, że to życie jest chropawe, trudne, bogate — cenię w tej powieści najbardziej. Szkoła, budowa osiedla mieszkaniowego, redakcja dziennika — oto skupiska ludzkie, przez które przebiegają główne wątki powieści, w których narastają moralne i polityczne konflikty naszej współczesności. Myślę, że z „Obywateli", z obfitego materiału powieściowego, jaki został w nich zgromadzony, dałoby się wykroić trzy, a może cztery odrębne powieści. Poszczególne wątki są dość luźno powiązane, rozwijają się równolegle niemal nie zaczepiając się wzajemnie. Powstała z nich jedna wielka powieść. Dlaczego? W każdym konflikcie „Obywateli", w każdej postaci, niepoprawnej niepoprawnością rzeczywistych, żywych ludzi, tkwi prawda ważka, lecz cząstkowa. Z różnych losów ludzkich, z wielu przecinających je problemów stwarza pisarz potężny fresk współczesny: poprzez ich prawdę cząstkową dotrzeć chce do pełnej, wielorakiej prawdy o naszych czasach. O ludziach naszych czasów.

Trzeba przyznać, że w osobie Kazimierza Brandysa współczesność doczekała się godnego pisarza, który umie znakomicie pokazać jej zewnętrzne realia, umie oddać wiernie jej klimat, głęboko sięgnąć w jej problemy i w ludzkie przeżycia. O silnej sugestii prawdziwości, jaką nadaje Brandys przedstawianym wydarzeniom, o tym zwłaszcza, jak bardzo książka oddycha Warszawą napisano wiele i nie będę już do tego powracał. Imponuje mi tylko jakaś wprost magiczna siła tych realiów: otóż co najmniej dwóch recenzentów dwóch poczytnych tygodników krakowskich zgłosiło — jednogłośnie, acz, niestety, nie jednocześnie — chęć sprawdzenia przy najbliższej bytności w Warszawie, czy przy ulicy Widok 14 mieszka rzeczywiście redaktor Zbrożek. W każdym razie już ta wierność rzeczywistości w jej zewnętrznych przejawach zjednuje zaufanie do tej ósmej z kolei, jak wyznaje autor, powieści Brandysa (przyznam z pokorą, że ja naliczyłem tylko siedem powieści plus jeden dramat). Ale „Obywatele" nie bazują tylko na sugestywnie upostaciowanych stwierdzeniach, to nie jest dzieło, które konstatuje, które poprzestaje na opisie widzianego świata, które stara się wtłoczyć świat w jakieś ustalone ramki. Najważniejsze i najciekawsze wydaje się w tej książce to, że pisarz w życie szkoły, w życie redakcji, w życie budowy wprowadza nieurojone konflikty, których sam nie rozwiązuje. Wciągają one silnie bohaterów, wdzierają się w ich życie wewnętrzne, drążą sumienia, stają się osobistą sprawą każdego z nich, wymagają rozstrzygnięć, decyzji, które zaważyć muszą na ich dalszym życiu. Spotykają się tu przeciwne sobie dążenia ludzkie, z odmiennych wynikłe pobudek i odmiennym służące celom, toczy się wszędzie twarda walka i chociaż słuszność może być po jednej tylko stronie, każdy wierzy w słuszność swojego właśnie postępowania, broni jej, przywiązany do swoich racji i do swoich błędów.

Powiedziałbym, że granica między bohaterem pozytywnym a negatywnym w powieści Brandysa zaciera się. Pamiętamy dobrze te filmy, sztuki teatralne czy powieści, w których wroga rozpoznawało się już po jego wyglądzie i które obdarzały go wszelkimi możliwymi przywarami. Tego w „Obywatelach" nie ma; bohater negatywny nie tylko nie jest wykrywalny na zewnątrz, nie tylko nie nosi oznak wrogości na swym obliczu czy w swej postawie, ale ma pewne przymioty (np. Działyniec to człowiek wybitnie uzdolniony i mógłby przecież — przynajmniej potencjalnie — być pożyteczny rewolucji), a co więcej, w swej wrogiej działalności może kierować się pobudkami ideowymi (Działyniec w procesie sądowym wyjaśnia swe postępowanie swymi przekonaniami politycznymi i swym — szkoda, że bliżej w książce nie zdefiniowanym — światopoglądem). Znajdzie się wprawdzie w „Obywatelach" karykaturalna postać ks. Leśniarza i kilkakrotne uszczypliwe uwagi w stosunku do księży, jest to jednak w powieści kwestia marginalna, toteż poprzestać wypadnie na jej zasygnalizowaniu. Nawet Łękot w swych nędznych ambicjach i przy całym zakłamaniu moralnym zachowuje żałosną, lecz ludzką twarz. Dzieje się tak nie dlatego, że pisarz „odpozytywnia" czy „odnegatywnia" swe postaci, lecz dlatego, że je uczłowiecza. Jedna jest cecha, która kwalifikuje bohaterów na tzw. pozytywnych — to uczciwość. Jest w „Obywatelach" wielki szacunek i zaufanie dla człowieka, który idzie przez życie uczciwie. I jest też teza — najpełniej może wyrażona w losach profesora Morawieckiego — że w świecie rewolucji socjalistycznej jest miejsce dla wszystkich ludzi uczciwych, także dla tych, którzy szukając prawdy mylą się, błądzą, wątpią, ale którzy mogą — i powinni — pojąć i przyjąć stwarzany przez nią nowy porządek społeczny, którzy mogą — i powinni — wnieść w nią swój współtwórczy wkład, stać się **obywatelami.**

Bohaterowie negatywni są w zdecydowanej mniejszości, nie odbiera to jednak ostrości starciom politycznym, nie osłabia napięć moralnych, gdyż linia podziału nie przebiega prosto; wróg potrafi omotać ludzi bynajmniej nie wrogich, a spory i starcia różnego rodzaju zachodzą również między bohaterami pozytywnymi. To powikłanie pogłębia konflikty powieściowe, stanowi o wielkiej dynamice książki. Dotyczy to szczególnie wydarzeń, jakie rozgrywają się w redakcji „Głosu Popularnego" i w szkole, gdzie jednak młodzież spełnia tylko role statystów.

Dorastanie ludzi do wielkości czasów, w których żyją, to sprawa niejednokrotnie tragiczna; w „Obywatelach" widzę dwie postaci, w których losach zawiera się coś z tragizmu współczesności. Pierwsza z nich — to Łękot, człowiek, który nie rozumiał rewolucji, nie dopuszczał jej do własnego wnętrza, nie dorósł do niej i został odtrącony. Tragedia ludzkiej małości, jaką on uosabia, ciąży na całym zespole redakcyjnym pisma, którym Łękot kieruje, paraliżuje jego poczynania, utrąca każdą śmielszą myśl nie z jakiejś zamierzonej złogości, ale z przemożnego lęku o siebie, o osiągnięte dobra materialne, które mógłby utracić. Obawa przed ryzykiem, przed wzięciem odpowiedzialności towarzyszy obłudnej gotowości do samokrytyki, ujętej w ustalone for-

(dokończenie na str. 7)

WŁADYSŁAW ŻEGOCKI

KRYZYS IDEOLOGICZNY WŁOSKIEJ CHADECJI

ZESZŁOROCZNA klęska wyborcza włoskiej chrześcijańskiej demokracji ujawniła głęboki kryzys ideologiczny, trawiący ten ruch już od dłuższego czasu. Jak długo bowiem de Gasperi dysponował we włoskim parlamencie wygodną i stałą większością, jak długo rządy jego mogły się opierać o politykę w praktyce przez nikogo nie kontrolowaną — tak długo można było przed włoską opinią publiczną ukrywać nicość ideowych założeń tego stronnictwa. Dla uważnego obserwatora oznaki były jednak niedwuznaczne. Pierwszym poważnym sygnałem było głośne wycofanie się z szeregów czynnych działaczy chadeckich młodego, bardzo zdolnego posła Dossettiego, wydawcy dwutygodnika „Cronache Sociali", wyraziciela poglądów „lewego skrzydła" włoskiej chadecji. Mniej więcej w rok potem znika z powierzchni włoskiego życia politycznego drugie pismo, wyrażające umiarkowanie postępowe poglądy — tygodnik „La Via" posła Igino Giordani, którego głównym przestępstwem było ujawnienie poglądu, że chrześcijańska demokracja powinna stać się czynnikiem budującym pokój światowy. Z takim programem Giordani oczywiście przepadł w wyborach zeszłorocznych. Oficjalna propaganda partyjna, monopolizowana przez najbardziej prawicowe, reakcyjne czynniki chadecji postarała się o to, by ustawić Giordaniego na pozycjach wyborczych z góry straconych.

Jeszcze jednym przejawem ideologicznego kryzysu włoskiej chadecji było wystąpienie, niegdyś głośnego pisarza i polityka, księdza Sturzo, który — w okresie wyborów komunalnych w Rzymie — rzucił hasło jednolitego frontu chrześcijańskiej demokracji z monarchistami i neo-faszystami. W ten sposób skrzydło reakcyjne, dyskontując autorytet osiemdziesięcioletniego starca, zamierzało przygotować sobie teren do walnej rozprawy z umiarkowanymi i postępowymi tendencjami w swoim stronnictwie i stworzyć dla wyborów parlamentarnych płaszczyznę do jawnego sojuszu wszystkich sił włoskiej reakcji.

Wówczas jednak manewr ten spalił na panewce. Reakcja rzymskiej opinii publicznej była tak silna, że w obawie o całkowitą utratę wpływów kierownictwo chadecji zrezygnowało z podtrzymywania akcji księdza Sturzo. Do wyborów chadecja poszła w bloku z socjal-demokracją i liberałami, nie zaś z monarchistami i neo-faszystami. Jak wszyscy pamiętamy — chadecja wybory przegrała. Utrzymała wprawdzie większość w Parlamencie, nie uzyskała jednak takiej większości, by mogła nadal rządzić samodzielnie. Sprzymierzeńcy jej natomiast ponieśli kompletną klęskę, praktycznie znikając z włoskiego horyzontu politycznego. W tych warunkach owo „centrum", o które chciał się de Gasperi opierać, okazało się niesłychanie słabe, a ponadto dawni sprzymierzeńcy chadecji, zrażeni swymi niepowodzeniami, wykazywali wyraźną chęć przejścia do opozycji i zrzucenia z siebie odpowiedzialności za nieudolne rządzenie krajem.

Włoska chrześcijańska demokracja, pozbawiona dotychczasowych sprzymierzeńców, stanęła istotnie przed koniecznością dokonania jawnego wyboru polityki — „zwrot w prawo" czy „zwrot w lewo".

Pytanie to ujawniło głębokość ideowego kryzysu stronnictwa. Między zwolennikami obu rozwiązań praktycznie nie ma punktów zbieżnych. Pośrodku znajduje się spora grupa chadeckich polityków spod znaku de Gasperiego, których wytyczną jest „ani w lewo, ani w prawo: stać w miejscu". Jednak polityka ta nie znajduje pokrycia w układzie włoskich sił politycznych, w którym próbom reaktywowania sił jawnego faszyzmu przeciwstawia się coraz mocniejszy front socjalistyczno - komunistyczny.

*

TRZON ideologiczny włoskiej chadecji stanowią bez wątpienia kadry działaczy, wychowywane przez włoską Akcję Katolicką i kierowane przez najwyższe czynniki kościelne za pośrednictwem przewodniczącego Akcji Katolickiej — prof. Luigi Gedda. Gedda jest przy tym także przywódcą tzw. Komitetów Obywatelskich — organizacji propagandowo - wyborczej, zbierającej głosy dla chrześcijańskiej demokracji w oparciu o cały świecki i duchowny aparat religijny we Włoszech.

„Profesor Gedda, wyznaczony na swe stanowisko z poparcia najwyższych autorytetów (rzymskich) jest jedną z najgłośniejszych osobistości we Włoszech — stwierdza w swej charakterystyce katolicki tygodnik francuski „Témoignage Chrétien". Jest on jednym z filarów kierunku tradycjonalistycznego. Wielokrotnie występował na arenie politycznej, bądź to, by przeciwstawić się „poślizgnięciom" chrześcijańskiej demokracji w kierunku lewicy, bądź to dla poparcia koncepcji reorganizacji tego stronnictwa w kierunku prawicy — to znaczy w kierunku sojuszu z monarchistami i neo-faszystami pod hasłem „nie ma nieprzyjaciół na prawicy!"

Pod kierownictwem więc prof. Geddy kadry włoskiej Akcji Katolickiej miały zaopatrywać chrześcijańską demokrację w skrajnie prawicowych działaczy, najprzyjaźniej odnoszących się (a może nawet tęskniących...) do jawnie faszystowskich ugrupowań włoskiego życia politycznego.

Tymczasem w rzeczywistości młodzież włoskiej Akcji Katolickiej zaczęła przejawiać od pewnego czasu wyraźne oznaki braku entuzjazmu i braku poczucia dyscypliny w stosunku do programu prof. Geddy. Już w październiku 1952 roku Gedda dymisjonuje przewodniczącego męskiej młodzieży katolickiej prof. Caretto, by zahamować proces radykalizowania się poglądów młodych katolików. W styczniu 1954 z kolei zostaje zmuszony do podania się do dymisji następca prof. Caretto, dr Rossi, którego działalność — na wniosek prof. Geddy — została uznana za niewłaściwą przez komisję składającą się z trzech kardynałów. Wyznaczenie jego następcy człowieka już całkowicie wiernego wytycznym prof. Geddy spowodowało dalszą reakcję łańcuchową dymisji, obejmującej szerokie kręgi kierownicze włoskiej młodzieżowej Akcji Katolickiej. Jeszcze przed dymisją dr Rossi przeprowadzono daleko idące rugi, usuwając ze stanowisk kierowniczych około dwudziestu działaczy, a kapelana tej organizacji, ks. Paoli, wysłano do Ameryki Południowej z zadaniem zajmowania się włoskimi emigrantami!

W szeregach Akcji Katolickiej Rossi znalazł się w jawnym konflikcie z założeniami Geddy, gdyż nastawiał włoską młodzież katolicką przeciw sojuszowi z reakcją i przeciw wykorzystywaniu szeregów tej religijnej organizacji dla celów propagandowo - wyborczych. Ponadto zarzucano Rossiemu, którego dymisja zbiega się frapująco z kryzysem księży-robotników we Francji, iż „wprowadza do swej organizacji myśli i terminologię związaną z niektórymi kierunkami francuskiego katolicyzmu". W praktyce chodziło tu o spór dość charakterystyczny, dotyczący usiłowań Rossiego zmierzających do wprowadzenia do organizacji młodzieżowej Akcji Katolickiej — zamiast dotychczasowego podziału według wieku — podziału według stanu społecznego jak np. Akcja Katolicka Robotnicza, Wiejska itp. Rzecz oczywista ten drugi schemat nie mógł odpowiadać reakcyjnym planom wychowawczym.

Kampania przeciw Rossiemu nie była jednak prowadzona argumentami politycznymi czy ideologicznymi. Sugerowano mu wypaczenia natury doktrynalnej, jakkolwiek żaden konkretny zarzut nie został sformułowany.

„Mam pełną świadomość, odpowiedział Rossi w swym liście otwartym, uzasadniającym dymisję, iż me poglądy i ma działalność pozostawały zawsze w ścisłych ramach ortodoksji,

„Chodzi tu o spór na temat wykorzystywania sił religijnych na płaszczyźnie politycznej. Powinno się mieć prawo wyrażania różnic poglądów na ten temat w niczym nie odchodząc od obowiązujących zasad katolickiej ortodoksji".

Na razie jednak, w tej rozgrywce o ideowe oblicze młodego aktywu chrześcijańskiej demokracji, zwyciężył bez wątpienia Gedda i jego kandydat na kierownika młodzieżowej Akcji Katolickiej — dr Vinci. Zwycięstwo jest jednak czysto pozorne. Zmiany na stanowiskach kierowniczych nie wpłyną na nastroje młodzieży włoskiej. Jeszcze przed dymisją dr Rossi taki wniosek na ten temat wyciągała francuska „Documentation Française".

„Ktokolwiek będzie przewodniczył młodzieży katolickiej, sytuacja tam nie może się zmienić. We Włoszech bezrobocie, ze swoim smutnym orszakiem nieszczęść i nędzy ciąży przede wszystkim na młodych ludziach, w chwili gdy zaczynają życie pracy, gdy szukają pierwszego zajęcia...

„...Każdy człowiek, który nie ma pracy i który prowadzi życie upokarzające — buntuje się. I trudno jest nie przyznać mu racji..."

*

TO samo zauważył burmistrz Florencji, znany działacz katolicki, Giorgio La Pira. Stosunki między La Pirą a chrześcijańską demokracją nie są całkowicie jasne. Obie strony nie odcinają się od siebie. Chrześcijańska demokracja jest we Włoszech jedynym i popieranym przez najwyższe autorytety kościelne ugrupowaniem politycznym, powołującym się formalnie na program katolicki, La Pira — głośnym i cenionym katolickim działaczem. Trudno więc się nawzajem od siebie odżegnywać. Z drugiej strony La Pira wykazuje tendencje do nadmiernej swobody i inicjatywy własnej; jego aktywność stanowi jaskrawy dowód nieudolności i bierności włoskiej chadecji. Stosunki są więc nawzajem dalekie od serdeczności.

La Pira, objąwszy rządy we Florencji, postawił sobie jako zadanie rzeczywiście sprostać społecznym problemom tego wielkiego przemysłowego miasta, liczącego przeszło 40.000 bezrobotnych.

Powszechnie znany jest konflikt, wybuchły wokół sprawy fabryki La Pignone, której dyrekcja zdecydowała pewnego dnia zwolnić cały personel. La Pira sprzeciwił się temu i walczył solidarnie z robotnikami La Pignone, wraz z lewicowymi związkami zawodowymi, przeciw decyzji włoskich kapitalistów. Akcja La Piry wywołała duży oddźwięk we włoskiej opinii publicznej, tym mocniej demaskując zakłamanie oficjalnego programu społecznego kolejnych rządów chadeckich.

Ostatnio sytuacja społeczna we Florencji zaogniła się ponownie, gdyż znów dwie firmy usiłowały zwiększyć liczbę bezrobotnych dla ratowania swych bilansów handlowych. I znów burmistrz Florencji przeciw temu zaprotestował. Tym razem odpowiedział mu osobiście sam prezes Konfederacji Przemysłowców Włoskich pan Costa, który zarzucił La Pirze, że swą obroną praw włoskich robotników — łamie prawa ustanowione przez Boga:

„Prawa, rządzące życiem ekonomicznym są p r a w a m i B o ż y m i (podkr. nasze) i ich r ó w n i e ż nie wolno łamać".

Rzecz oczywista La Pira łatwo się rozprawił z tym osobliwym teologiem, który identyfikował ekonomiczne prawa kapitalizmu z Bożym zamysłem ładu ludzkiego!

Najwidoczniej jednak La Pira wniósł poważne zamieszanie w szeregi chrześcijańskiej demokracji i mocno zagroził dotychczasowemu programowi nieróbstwa, skoro wytoczono przeciw niemu najcięższe działo, jakim dysponuje dziś chadecki arsenał.

Ponownie na scenie politycznej pojawiła się starcza postać księdza Sturzo. Nic w jego działalności nie uzasadnia określenia jego postawy społecznej jako postępowej. Niemniej jednak cieszy się on na ogół dużym autorytetem, jako przywódca chrześcijańskiej demokracji w okresie jej młodości. Był przeciwnikiem faszyzmu, emigrował z Włoch — jest więc bez wątpienia czołową osobistością włoskiego życia katolickiego.

Don Sturzo, ten sam który nawoływał niedawno do sojuszu z neo-faszyzmem, wystąpił więc na łamach chadeckiej prasy z atakiem na La Pirę. Oskarżył go o „etatyzm". Dziwny ten zarzut w drugiej połowie XX wieku oznacza innymi słowy, że La Pira ulega inspiracjom społecznej myśli socjalistycznej, że jest wrogiem „prywatnej inicjatywy", że daje pole władzy państwowej do ingerowania w życie gospodarcze kraju. Sumując — konkluduje ks. Sturzo — La Pira łamie program encyklik społecznych.

Między La Pirą i księdzem Sturzo wywiązała się więc polemika o właściwą interpretację wskazań encyklik, przy czym burmistrz Florencji tłumaczył się, że papieże bynajmniej nie odrzucają możliwości interwencji państwa w życiu społecznym. W tym wypadku, jak i w wielu innych, dyskusja interpretacyjna wokół encyklik społecznych skazana jest na bezpłodność, skoro czepia się litery tych dokumentów i nie ma odwagi sięgnąć do ich istotnej treści moralnej z odrzuceniem przestarzałych czy zgoła zbędnych formuł ustrojowych w nich zawartych. Ta strona sporu nas nie interesuje. Cenniejsza jest dla nas natomiast ta część jego odpowiedzi, w której poglądom księdza Sturzo przeciwstawia La Pira — rzeczywistość Florencji.

„Proszę bardzo spróbować zawodu burmistrza! Być może, że wówczas sprawy ukażą się w świetle zgoła nieoczekiwanym dla umysłu kapłana i chrześcijanina. Sprawy ujawnią się w bolesnej perspektywie niesprawiedliwości; ujawnią się w energicznym apelu o przeciwdziałanie, okażą się wołaniem człowieka, który z niepokojem poszukuje tego, czego Chrystus każe domagać się: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj!" Cóż ma odpowiadać burmistrz bezdomnym bezrobotnym, zagrożonym usunięciem z pracy, nędzarzom, którzy przychodzą upominać się o dach nad głową, o pracę, o pomoc?

Czyż burmistrz ma odpowiedzieć: „Mój biedaku, przykro mi, ale nie jestem zwolennikiem etatyzmu, nic ci nie mogę pomóc... Mój biedaku, nie wolno łamać boskich praw inicjatywy prywatnej. Idź w pokoju! (Przeczytajcież List św. Jakuba, II, 15).

A cóż odpowie na to nędzarz? Czyż to jest chrześcijanin, zapyta, czyż to jest burmistrz? Nie! To łotr, to faryzeusz!"

Mocna to, ale zasłużona odprawa, może nie tyle bezpośrednio pod adresem niezbyt już odpowiedzialnego starca, ale pod adresem tych, którzy nim kierowali: przywódców prawego skrzydła chrześcijańskiej demokracji, pana Geddy, pana Pelli, potentatów „Confindustria", którzy — jak pan Costa — bronią swych interesów „prawem Bożym" i autorytetem katolickim.

Lewe skrzydło włoskiej chadecji jest słabe, składa się z ludzi o najróżniejszych poglądach i aspiracjach. Poza chrześcijańską demokracją nie ma we Włoszech dziś ani jednego poważniejszego ośrodka, który mógłby sprecyzować żądania społecznie postępowych katolików.

Niemniej wewnętrzna sytuacja włoskiej chadecji sprzyja powstaniu takiego ruchu. Sprzyja mu również dalekowzroczne stanowisko przywódcy włoskich komunistów Togliattiego, który niedawno tak jasno określił bazę, na której komuniści i postępowi społecznie katolicy mogą się spotkać, nie naruszając w niczym swych odrębności światopoglądowych, a wspólnie broniąc interesów narodu włoskiego i jego roli w świecie współczesnym.

Śledzimy i my z całą serdecznością ten nowy etap ideologiczny życia społecznego włoskich środowisk katolickich.

JEAN MARIE DOMENACH

Barrés i sprzeczności nacjonalizmu

W CZASIE, gdy Barrès zaczął pisać „Roman de l'Energie nationale", to jest w okresie, który dzieli upadek Boulangera od początku sprawy Dreyfusa (lata 90—97), nacjonalizm francuski nie miał jeszcze tego zacięcia doktrynalnego, ostrego i polemicznego, jakie będzie go charakteryzowało w pierwszych latach wieku XX. Trudno nam wyobrazić sobie ten nacjonalizm będący raczej protestem temperamentu niż doktryny przeciwko wszystkiemu co Francji zagraża, co wywołuje w niej rozkład. Nacjonalizm ten nie był jeszcze zdeterminowany, we wspólnym zrywie „boulangistowskim" zgromadził ludzi o tradycjach monarchistycznych, bonapartystycznych, jakobińskich, socjalistycznych a nawet anarchistycznych. W roku 1894 dziennik „La Cocarde" zgromadził wokół Barrèsa zadziwiającą plejadę ludzi, wśród których obok Maurrasa i Amouretti'ego spotykamy anarchistę, socjalistę, a nawet protestantów i Żydów. Wielki musiał być upadek Republiki u zmierzchu tego wieku, skoro ludzie tak odmienni jak Barrès, Maurras, Peguy, a później Bernanos stanęli razem na czele tej fali gniewu przeciw upodleniu ducha i obyczajów. Historyczne rejestry Paryża z 1900 roku nie mogą ukryć zwiększania się dekadencji. Republika żyje jedynie resztkami ideologii roku 1889, wykorzystuje je w enuncjacjach i szkołach, pogrąża się w łatwiznę interesów i smętną grę systemu parlamentarnego. Ustrój ten przyjmuje się i wydaje umacniać.

Jednakże w miarę jak Republika utrwala się i nabiera charakteru burżuazyjnego, traci jednocześnie zryw i żywą substancję. W roku 1894 pewna liczba zwycięskich stronników Boulangera pogrąża się w skandalicznej aferze panamskiej zaś Barrès w „Leurs Figures" opiewa tę niecną epopeję. Co gorsza, ginie to, co było w kraju najlepsze. Klasa robotnicza odłącza się i organizuje w Giełdy pracy, intelektualiści przeciwstawiają się i krytykują, elita emigruje jak np. Lyatey na Madagaskar, Morès na Saharę. Przekleństwa rzucane przez Déroulède w Najwyższym Trybunale, bomba podłożona przez Vaillant — oto wybuchy najskrajniejszych odłamów opinii publicznej, w których ujawnia się obrzydzenie do burżuazyjnej Republiki odrzucającej honor i strzelającej w dniu 1 maja do swoich proletariuszy...

Inteligencja, beztroska, radosna nie potrafi przeciwdziałać zamieraniu życia narodowego. Z okresu Rewolucji, po której nastąpiło Cesarstwo, pozostały jedynie oderwane zasady; głoszone przez szkoły i polityków wyrywają Francuzów z właściwej im atmosfery czyniąc z nich „podwładnych" umysłu i serca. Jednakże odruchy nie mobilizujące najgłębszych skarbów instynktu nie będą miały wartości. Barrès marzy przez krótki czas, że Boulanger potrafi „zjednoczyć siły Francji", ale dziwaczny i sztuczny zlepek rozpada się z chwilą upadku przywódcy, a wspaniały krzykacz Déroulède nie będzie usiłował zająć dyktatorskiego fotelu w Pałacu Elizejskim. Przez chwilę Barrès usiłuje propagować tezy federalizmu regionalnego, jednak istniejący system zbyt dobrze funkcjonuje, by można było obalić go ideami. Część młodego orszaku towarzyszącego Barrèsowi będzie podążać za Maurrasem ku wizerunkowi monarchizmu centralizującego, on sam jednak nie wycofuje się z działalności publicznej, pozostanie wierny swej głównej trosce o mobilizację uczuć i poświęci się kształceniu serc. „Jego nacjonalizm nie był polityczny" — powie Malraux. Rzeczywiście Barrès nie usiłował narzucić systemu, nie usiłował umacniać jakiejś partii, chciał jedynie inspirować ludzi, którzy, odnajdując Francję, odnajdują siebie drogą pewnego rodzaju nieustannej psychoanalizy ojczyzny. „Nacjonalizm i regionalizm aż nazbyt często pozostają jedynie teorią. Chcę, aby były odczuwane nie jako doktryny, lecz jak biografie, jak biografie nas wszystkich, Francuzów".

Nacjonalizm ten nie posiada więc żadnych cech gwałtu; wręcz przeciwnie: czysto negatywne reakcje jednostki urażonej, przez barbarzyńców przemieniają się w konkretny system pedagogiczny przeciwstawiający się totalitaryzmowi Uniwersytetu Państwowego: „Nie chodzi o to, by przynieść dziecku coś z zewnątrz, lecz by poruszyć jego uczciwość... „Domagam się po prostu, by na szczeblu nauki początkowej umożliwić każdej jednostce pełne wykorzystanie sił skumulowanych drogą dziedziczenia". W „Les Déracinés" przedstawiony jest system wychowawczy nieudany na skutek nieprzystosowania, „Amitiés françaises" jest książką o systemie wychowawczym, który musi osiągnąć powodzenie, ponieważ jest z góry zharmonizowany z głęboką naturą dziecka. Zasadniczym celem tego systemu jest kontakt dziecka z duszami jego zmarłych przodków i z mistyczną rzeczywistością jego ziemi.

Tu Barrès posługuje się znakomicie metodą „kompozycji" Chateaubrianda udoskonaloną przez Michelet. Te „kompozycje miejsca" nie są owym sztucznym ćwiczeniem, do którego zmuszał się „człowiek wolny", nasuwają się w sposób naturalny wraz z łąkami Charmes, lasami Domremy, wzgórzami Sion-Vaudémont, polami bitwy Woerth... Po etapach psychoterapii następują etapy nacjonalizmu — ziemie modelowane przez tych, którzy na nich pracowali lub ich bronili, zdolnych przywrócić nam ich wartość.

*

SPRAWA nacjonalizmu skompromitowana od początku przepada z chwilą rozpoczęcia sprawy Dreyfusa: wówczas to nacjonalizm zdradza ideę sprawiedliwości i braterstwa

Lesseps, Eiffel, Cottu, Fontane — oskarżeni w procesie „panamskim"

Rysunek Paula Renouarda

wszystkich ras, ideę czysto francuską, przechyla się na stronę odziedziczonych zasad i na zawsze odcina się od lewicy, będącej fundamentem siły ludowej. Dlaczego dokonał takiego właśnie wyboru? Léon Blum mówi nam, że Barrè początkowo miał wątpliwości co do winy kapitana Dreyfusa. Potem, nagle rzucą się w wir walki, ale na jakich argumentach się opiera! „Że Dreyfus jest zdolny zdradzić o tym nie wątpię. Wiem o tym, że zdradził ponieważ czytałem to, co napisali Mercier i de Roget, a są to piękne dzieła". Trybunały osądziły, ministrowie dali pokrycie... cudowna hierarchiczna pewność, która uspokajała wiele sumień w obliczu wielkich egzekucji: on nie może dopuścić tej myśli, że „sześciu ministrów wojny i trzech premierów popełniło omyłkę i nas, przez sześć lat, oszukiwali". Jednakże istotna przyczyna leży gdzie indziej: w przemożnym poczuciu francuskiej słabości, które dostrzegliśmy u źródła nacjonalistycznej reakcji. Bronić Dreyfusa znaczy zdyskredytować swoich przełożonych i sędziów, znaczy osłabić armię będącą w zdegenerowanym państwie jedynym silnym elementem, wśród którego zachowały się dawne cnoty. Armia ta, to szaniec przeciw inwazji, zarodek przyszłego odrodzenia, najważniejszy organ istnienia ojczyzny. Ciekawa sprzeczność: nacjonalizm uporczywie walczący o odrodzenie żywotnych sił instynktu rzuca się na oślep w obronie instytucji! A przecież Barrès wie, że prawdziwa odwaga musi się łączyć z honorem, tu natomiast honor może przepaść razem z zaufaniem, jakim opinia publiczna darzy sędziów i żołnierzy, w tej atmosferze niesprawiedliwości i przedłużających się przeróżnych kłamstw. Lecz troska o siłę, o pozory siły przeważa nad wszystkim jak gdyby Francja była kruchym naczyniem, które lada uderzenie może rozbić na kawałki. W ten sposób nacjonalizm całkowicie i na długo łączy się z partią rządzącą. Nacjonalizm ten zrodzony z żywotnej reakcji jednostki, jeszcze nie skrystalizowany, pragnący Francji „głębi" nagle zaczyna myśleć tylko o zewnętrznej obronie instytucji i granic, staje się fanatykiem Porządku (przez duże p), nie interesując się zupełnie co się pod nim kryje i co on dławi. Stojąc po stronie federalizmu i regionalizmu staje się popleczn kiem racji stanu, którą miał pewnego dnia stworzyć totalitarny terror, odrzucając daleko od siebie jakobiński centralizm.

Ta przedziwna metamorfoza kiełkuje już u ojca francuskiego nacjonalizmu. Zmierzch nacjonalizmu Barrèsa zaczyna się gdy troska, by chronić, zdecydowanie bierze górę na wysiłkiem, by odzyskać. Odzwierciedla się to na twarzach wrogów, których sobie stwarza. Po tłumie barbarzyńców, po Charles Martinie (z „Jardin de Bérénice") o „umyśle dziecka opanowanym przez słowa uczonego", proroczej postaci głupiego technokraty pojawia się Bouteiller, profesor, wyznawca Kanta, dalej Niemcy zajmujący utracone prowincje, robotnicy imigranci odbierający pracę naszym poczci

SZYMON DEREŃ

NAPAŚĆ NA GWATEMALĘ

W 1944 roku powstanie ludowe w Gwatemali obaliło rządy związanego ściśle z kapitałem amerykańskim dyktatora Jorge Ubico. Do władzy doszedł przedstawiciel miejscowej burżuazji narodowej Juan Arevalo, który zapoczątkował niezależną politykę zagraniczną. Z kolei wybory powszechne z 1950 r. dały całkowite zwycięstwo Blokowi Demokratycznemu, grupującemu postępowe odłamy narodowej burżuazji, do których przyłączyła się również Robotnicza Partia Gwatemali. Nowym prezydentem został przedstawiciel Bloku, Jacobo Arbenz, z pochodzenia Szwajcar, przesiąknięty tradycjami mieszczańskiego liberalizmu Przystąpił on do urzeczywistniania pewnych reform społecznych, wśród nich ustawodawstwa pracy, a zwłaszcza przeprowadził w 1952 r. stosunkowo postępową reformę rolną. Kilkaset tysięcy hektarów słabo dotychczas wykorzystywanej ziemi przeszło w ręce małorolnych i bezrolnych chłopów, przy czym wydziedziczeni latyfundyści otrzymali odszkodowanie w postaci bonów agrarnych.

Ta właśnie reforma rolna spowodowała podjęcie w Stanach Zjednoczonych nieokiełznanej już kampanii przeciwko rządowi Gwatemali. Kraj ten był do tego czasu rabunkowo eksploatowany przez znany trust amerykański „United Fruit Company", w którego posiadaniu znajdowało się ćwierć miliona hektarów ziemi. Trzymając całkowicie w swych rękach podstawową gałąź gospodarstwa narodowego — produkcję owoców i warzyw — oraz monopolizując handel tymi produktami przy pomocy kontroli finansowej nad flotą handlową i portami Gwatemali, spółka amerykańska niepodzielnie rządziła krajem do 1944 r., a jeszcze w 1950 r. jej dochody, realizowane w samej Gwatemali, wynosiły koło 70 mil. dolarów rocznie, co przewyższało cały budżet państwowy.

Tak duże dochody były typowe dla zysków wielkich koncernów w krajach kolonialnych i zależnych. Opierają się one na płaceniu wielokrotnie niższych niż w metropolii stawek zarobkowych, co umożliwione jest m. in. istnieniem ogromnej rezerwowej armii pracy, zasilanej stale przez żyjących w skrajnej nędzy bezrolnych i małorolnych chłopów. Dla utrzymania tego stanu rzeczy wszechpotężne koncerny zagraniczne, dziś w Ameryce Łacińskiej prawie wyłącznie z USA, starają się nie dopuścić w tych krajach do rozwoju rolnictwa. Ujawnia to pośredni związek ze sprawą reformy rolnej.

Reforma rolna dotknęła, rzecz prosta, przede wszystkim największego latyfundystę Gwatemali, to jest „United Fruit Company" i podcięła podstawy jej wszechpotężnych dawniej wpływów na życie gospodarcze i polityczne kraju. Właśnie wspólna walka przeciwko obcej supremacji scementowała blok narodowego odłamu burżuazji z partią robotniczą i zapewniła mu poparcie najszerszych mas społeczeństwa. Atoli monopoliści w Stanach Zjednoczonych nie chcieli się pogodzić ze stratą tej pozycji. W danym wypadku wchodziło w grę nie tylko zmniejszenie dochodów jednego z największych zjednoczeń kapitału amerykańskiego, ale w większej jeszcze mierze grała rolę obawa, że udany precedens Gwatemali może stać się punktem wyjścia dla analogicznego politycznego i gospodarczego uniezależnienia się innych państw Ameryki Łacińskiej, w których panują podobne stosunki wyzysku kolonialnego.

To jest podłożem akcji prowadzonej od wielu lat przez rząd Stanów Zjednoczonych przeciwko niezależnemu rządowi jednego z najmniejszych i najsłabszych państw kontynentu amerykańskiego. Akcja ta prowadzona jest na dwóch płaszczyznach. Polega ona z jednej strony — na dywersji wewnętrznej przejawiającej się w organizowaniu zamachów stanu przy pomocy elementów reakcyjnych w kraju i na emigracji, związanych z „United Fruit Company", a z drugiej strony — na montowaniu nacisku zewnętrznego, zmierzającego do zmuszenia rządu Gwatemali do ustępstw wobec dyktowanych przez Departament Stanu żądań, pokrywających się całkowicie z postulatami amerykańskiej oligarchii finansowej.

Głównym narzędziem akcji amerykańskiej w Gwatemali są przebywający na emigracji: generał Idigoras Fuentes i pułkownik Castillo Armas, związani z kołami miejscowych latyfundystów. Przy ich pomocy zgrany wysiłek dyplomacji amerykańskiej i „United Fruit Company" zorganizował w ciągu ostatniego dziesięciolecia ponad 30 zamachów stanu. Wszystkie one zostały udaremnione dzięki zdecydowanej postawie ludności, która aktywnie podtrzymywała rząd broniący wolności i suwerenności kraju. Najpoważniejszy zamach, poparty działaniem reakcyjnych emigrantów od zewnątrz, miał miejsce rok temu, przy czym do rąk władz Gwatemali trafiły wówczas dokumenty ujawniające, że faktycznym inspiratorem gen. Fuentesa i pułk. Armasa, działających z terenów Nikaragui i Hondurasu, był „urlopowany" pułkownik armii Stanów Zjednoczonych, Studer.

Jako główny środek montowania nacisku z zewnątrz przeciwko istniejącemu w Gwatemali ustrojowi propaganda amerykańska używała motywu straszenia „niebezpieczeństwem komunistycznym". Usiłowała ona przedstawiać rząd w Gwatemali jako wywrotowo-rewolucyjny, wołając patetycznie, że stać się on może ośrodkiem akcji komunistycznej na całą półkulę zachodnią. Wiadomo powszechnie, że rządzące obecnie w Gwatemali koła mają charakter narodowo - mieszczański, a przeprowadzane przez nich reformy są dopiero na szczeblu likwidowania bujnych przeżytków feudalizmu. Dla propagandy amerykańskiej wystarcza jednak, że bronią one suwerenności i niezawisłości swego kraju przeciwko obcej ingerencji, aby identyfikować ruch narodowo-wyzwoleńczy z komunizmem.

Nie jest rzeczą przypadku, że na odbytym w marcu — kwietniu br. X Kongresie Unii Panamerykańskiej w Caracas dyplomacja Stanów Zjednoczonych z taką energią forsowała, wbrew bardzo niechętnej postawie państw Unii, rezolucję wzywającą do wspólnej akcji przeciwko rządowi, który „podlegać będzie wpływom międzynarodowego komunizmu". Właśnie w tym czasie odbywały się rokowania między rządem Gwatemali a „United Fruit Company" co do odszkodowania za przejętą na rzecz reformy rolnej ziemię, należącą do tej firmy. Skończyły się one niezmiernie znamiennym i niesłychanym w swej bezczelności incydentem.

Biorąc za punkt wyjścia dyskusji zgłoszone przez przedstawicieli „United Fruit Company" pretensje, rząd Gwatemali uzgodnił z nimi sumę wykupu i warunki jej spłaty. Wówczas zupełnie niespodziewanie Departament Stanu wmieszał się do rokowań, zgłaszając żądanie zapłacenia przez Gwatemalę firmie amerykańskiej za wywłaszczoną na rzecz reformy rolnej ziemię zupełnie absurdalnej sumy **16 miliardów** dolarów, nie tylko niewspółmiernej do wartości przejętych gruntów, ale i do całości gospodarki narodowej Gwatemali. Rząd tamtejszy odrzucił naturalnie z oburzeniem tę dziką pretensję. Podziwiać tylko można „elastyczność" polityki Waszyngtonu, który w wypadkach odwoływania się do niego z pretensjami strony zewnętrznej powołuje się zawsze na niemożność interweniowania w sprawach osób czy instytucji prywatnych, a wtedy, gdy mu to jest z jakichkolwiek względów dogodne, występuje w ich imieniu nawet wbrew zajętemu przez nie poprzednio stanowisku.

Związek między tym incydentem a rezolucją z Caracas jest zupełnie widoczny. W danym wypadku dyplomacja amerykańska chciała przygotować grunt do ingerowania w sprawy wewnętrzne Gwatemali pod oszukańczym pretekstem, że tamtejszy rząd stosuje „bolszewickie metody traktowania własności prywatnej".

Ostatecznie, jak wiadomo, rezolucja „antykomunistyczna" została uchwalona w znacznie złagodzonej redakcji, uniemożliwiającej Stanom Zjednoczonym interweniowanie bez poprzedniego porozumienia się z pozostałymi krajami amerykańskimi, które bynajmniej nie są skłonne uważać reform przeprowadzanych w Gwatemali jako „komunistyczne". Jednakże rezolucja ta posłużyła jako formalne usprawiedliwienie montowania wewnętrznej i zewnętrznej akcji przeciwko rządowi Gwatemali, organizowanej z terenów całkowicie uległych Stanom Zjednoczonym, Nikaragui i Hondurasu.

Młodzież Gwatemali demonstruje przeciwko kolonializmowi USA w Ameryce Łacińskiej

Przejawiło się to w formie zbrojenia i szkolenia band, składających się z reakcyjnych emigrantów i „ochotników antykomunistycznych", które na dany znak miały uderzyć na Gwatemalę, usiłując jednocześnie wywołać tam rewoltę przeciwko legalnemu rządowi. Zasługuje na uwagę, że Stany Zjednoczone nie zdecydowały się na tworzenie oddziałów interwencyjnych spośród ludności Hondurasu i Nikaragui, gdyż danie do ręki karabinów tamtejszym chłopom, tak samo eksploatowanym i poczuwającym się do solidarności z wieśniakami Gwatemali, mogłoby się skończyć użyciem broni przeciwko organizatorom interwencji.

Z akcją przygotowywania napaści wiązała się nowa kampania przeciwko Gwatemali, podjęta przez prasę amerykańską w połowie maja br. Asumptem ku temu stało się przybycie do jednego z portów Gwatemali statku szwedzkiego z ładunkiem broni zakupionej przez rząd tamtejszy dla dozbrojenia minimalnej zresztą, bo mieszczącej się w granicach tysiąca żołnierzy, armii narodowej. Prasa amerykańska stwierdziła początkowo, że broń ta pochodzi z krajów demokracji ludowej, podnosząc alarm, iż kraje „zza żelaznej kurtyny" chcą wykorzystać Gwatemalę jako ognisko komunistyczne. Za pomocą takich bezczelnych kłamstw propaganda ta starała się negować prawo suwerennego państwa do nabywania broni dla zabezpieczenia się przed szykowaną z zewnątrz agresją.

Heca ta była potrzebna Departamentowi Stanu dla upozorowania jawnego wysyłania broni do Nikaragui i Hondurasu celem uzbrojenia wspomnianych band interwencyjnych oraz dla podjęcia kroków wobec swych partnerów z Unii Panamerykańskiej, aby w powołaniu się na rezolucję w Caracas uzyskać legalną podstawę do ingerowania w sprawy wewnętrzne Gwatemali. Gdy te wysiłki dyplomacji waszyngtońskiej zostały bardzo chłodno przyjęte przez państwa Ameryki Łacińskiej, sekretarz stanu Dulles wystąpił 15 czerwca z grożącą mową, w której zupełnie wyraźnie zapowiedział, iż w najbliższym czasie „porządek w Gwatemali powinien być przywrócony".

„Porządek" w zrozumieniu rządzących sfer Stanów Zjednoczonych — to przywrócenie w Gwatemali dawnej panującej pozycji „United Fruit Company". Dla zrealizowania tego celu każdy środek jest dobry. Wobec niepowodzenia próby uzyskania legalnego mandatu na interweniowanie przeciwko istniejącemu w Gwatemali ustrojowi, sięgnięto raz jeszcze do metody próbowania obalenia go drogą skombinowanej akcji rewolty wewnętrznej i uderzenia z zewnątrz od strony lądu, wody i powietrza.

W dniu 18 czerwca br. sygnał do wystąpienia elementów reakcyjnych dał nalot obcych samolotów wojskowych na stolicę kraju, przy czym z okazji przymusowego lądowania jednego z nich na terytorium Meksyku rozeznano, że był on pilotowany przez załogę, składającą się z obywateli amerykańskich. I bez tego nikt nie miał wątpliwości, że napaść na Gwatemalę jest dziełem imperialistów amerykańskich.

Nie liczące się z niczym, brutalne i prawie niezamaskowane wystąpienie Stanów Zjednoczonych przeciwko małemu krajowi, broniącemu swej niezawisłości, wywołało zrozumiałe oburzenie w całym cywilizowanym świecie. Specjalnie ostro zareagowały społeczeństwa krajów Ameryki Łacińskiej, które dobrze zdają sobie sprawę, iż miało to być również pokazowe uprzedzenie pod ich adresem, że żadne wyłamywanie się spod kurateli Waszyngtonu nie będzie tolerowane. Zamknięcie granicy Meksyku i Salwadoru dla napastników, uchwały parlamentów Urugwaju i Chile potępiające agresję, opór rządów Argentyny i Meksyku przeciwko wykorzystaniu rezolucji z Caracas w sprawie gwatemalskiej itd., są dowodem, że Ameryka Łacińska docenia całkowicie niebezpieczeństwo ingerowania Stanów Zjednoczonych w jej sprawy wewnętrzne.

Ocenę sfer politycznych na Zachodzie zreasumował najlepiej znany paryski dziennik „Le Monde", który w swym pierwszym komentarzu stwierdził, iż bez względu na to, jak się skończy zorganizowany przez Stany Zjednoczone atak na Gwatemalę, jedno jest pewne, że spowoduje on w każdym wypadku dalsze i jeszcze większe obniżenie się prestiżu Waszyngtonu. Rzeczywiście, prowokacyjne i agresywne poczynania Stanów Zjednoczonych wywołują nie tylko sprzeciwy mas ludowych świata, broniących sprawy pokoju, ale i sprzymierzonych z nimi rządów burżuazyjnych, zdających sobie sprawę, że ta „polityka siły i katastrof" nie może im dać nic dobrego. Sprawa napaści na Gwatemalę kończy się nieuniknioną kompromitacją rządu waszyngtońskiego ukazując jeszcze wyraźniej istniejące sprzeczności między nim a państwami Ameryki Łacińskiej.

Sprzeczności tych nie uda się osłabić drogą wewnętrznych przewrotów dokonywanych przez opłaconych dolarami pułkowników, Ludbowiem zarówno Gwatemali, jak i innych państw Ameryki Łacińskiej rozumie już dzisiaj, że jego największy wróg — to obcy kapitał, którego typowym reprezentantem jest właśnie „United Fruit Company".

---

wym współrodakom. Mur jakim odgradzał się „Kult własnego Ja" od głupoty innych umacnia się, staje się granicą, przywilejem rasowym, przesądem klasowym. Na nacjonalizmie francuskim zawsze będzie ciążyć to, że jego dwaj twórcy zrobili z niego niejako zaporę, ochronę, w chwili, gdy Francja zaczyna być ekonomicznie zacofana, gdy wyłącza się z prądu modernizacji technicznej, porywającego Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię, Niemcy: lata 1890—1900 to epoka, gdy Ruhra dochodzi do potęgi, podczas gdy we Francji rolnictwo otacza się protekcjonizmem, powstaje nowy feudalizm. Wielkim nieszczęściem dla naszego kraju jest, że rodzący się w XX w. potężny prąd nacjonalizmu wywodzi się od dwóch pisarzy, wprawdzie artystów, lecz pozbawionych wiadomości z dziedziny ekonomii politycznej! „Nacjonalizm-Socjalizm - Protekcjonizm" — z chwilą gdy znikło drugie słowo sloganu streszczającego program Naicy, pozostało połączenie nacjonalizmu i protekcjonizmu, które — ani Barrès ani Maurras nie zdawali sobie z tego sprawy — leży u podstaw tej dekadencji, która ich prześladuje. Nie dostrzegają, że dawne struktury, które usiłują zachować, poważnie zahamują rozwój kraju.

Bądźmy sprawiedliwi: nacjonalizm francuski ma czym usprawiedliwić fakt, że tak całkowicie zapatrzył się w błękitną linię Wogezów. Co byłoby się stało, gdyby na skutek wielkiej wojny Europa przeszła pod panowanie Niemiec, gdzie już istniały główne zarodki nazizmu i czyhały na możność rozplemienia się? Péguy dostrzegł tę możliwość cofnięcia się. Armia francuska, którą nasi nacjonaliści pragnęli chronić za wszelką cenę, którą kochali z głupim szaleństwem, umiała w końcu uratować Paryż. Socjaldemokratyczna międzynarodówka miała się rozpaść. Niestety nacjonaliści francuscy zamiast starać się po uzyskanym zwycięstwie o utworzenie wielkiego współczesnego narodu, znowu niespokojnie stanęli na straży Renu i egoistycznie czepiali się systemu, który tracił na sile i nie mógł przeciwstawić nic żywotnego gwałtownej fali zacofanych nacjonalizmów...

JEŻELI nie będziemy oddzielać ludzi od ich epoki i zaczniemy zastanawiać się nad wybuchem nacjonalizmu we Francji roku 1900, dostrzeżemy protest przeciwko dekadencji kraju, a głębiej jeszcze pewien stan oschłości intelektualnej i ujednolicenia technicznego. Ożywiając źródła liryzmu, odwołując się do energii i wielkich uczuć, do natury zharmonizowanej przez człowieka, poczynania Barrèsa zmierzały do właściwego celu: w przyszłości wiele czynników to potwierdziło — sport, harcerstwo, ogniska młodzieżowe, tłumy uciekające każdej niedzieli z miasta „na wieś" i wszyscy ci ludzie wyrafinowani, którzy obrali sobie dziś siedziby w wioskach Mistrala... Fala, która pchnęła ku faszyzmowi tylu najlepszych spośród powojennego pokolenia, powstała na tle obrzydzenia do współczesnego świata, na tle pragnienia wielkości i świeżości. Lecz tego powstania młodzieży nacjonalizm Barrèsa nie potrafi ani zorganizować, ani też nim pokierować. Nacjonalizm ten nie jest doktryną, nie jest również „mistycyzmem" jak faszyzm, jest raczej liryczną pedagogiką, albo — jak powiedział Thibaudet — „cudowną zdolnością do muzyki". Jak najwyraźniej widać przejście od sztuki do nacjonalizmu: uciekając sam przed sobą do swoich zmarłych od nich czerpie Barrès swoją muzykę i cichą egzaltację ducha. Jednakże polityka nie powstaje z tego z czego powstaje poezja. Inni nauczą się tego później, po nim, a nauka ta będzie twarda. „Od pierwszej chwili naszej podróży widziałem, że twoja wyobraźnia skierowana jest ku zmarłym — mówi Saint-Phlin do Sturela. — Myśl, że ziemia, na której się urodziłeś, nabiera oblicza nieznanego twoim przodkom uraża cię głęboko". Barrès ze zwykłą sobie trzeźwością sądu wyjaśnia nam swoje słabe strony. Jest mistrzem Piękna i nie chce, aby się ono zmieniło. Z zasobu swego poczucia estetyki wysnuwa ukradkiem dążenia polityczne. Radość trwania w tradycji, postępowania ściśle śladami przodków jest w pełni świadoma, toteż gdy nie wchodzi to w zakres sztuki, nie może ona przyczynić się do zjednoczenia i odbudowy politycznej...

W roku 1906 Barrès pisał w swoich „Cahiers": „Jourès znajduje upodobanie w formacjach nieukształtowanych, w tym czymś nieukształtowanym, w formach muzycznych — że ośmielę się tak powiedzieć. Dlatego kocha on przyszłość. Czyż jestem oschły pod względem umysłowym, czy odczuwam nadmierną potrzebę rzeczy sprecyzowanych, dotykalnych? Może, lecz wolę piękną rzeźbioną postać aniżeli zjawę zmarłych. Opieram się na przeszłości, ale na realnej, na tym co jest..." Poprzednio pisał: „Wolę długą przeszłość, aniżeli długą przyszłość, a raczej marzeniami nigdy nie ogarniałem przyszłości". Straszliwe wyznanie, gdy chodzi o polityka. Nacjonalizm mógł stać się dążeniem do odnowienia ducha Francji i stworzenia nowoczesnych podstaw jej potęgi, natomiast u swego twórcy ukazuje nam się jako odmowa dotknięcia oblicza ukochanej ziemi, jako liryczne zatopienie się w przeszłości, która przecież wiecznie nie będzie rodziła owoców.

Nie znaczy to, że krytyka Barrèsa nigdy nie była słuszna, np. gdy chodzi o osłabienie żywotności narodu, zerwanie naturalnych więzów, abstrakcyjna pedagogika, nadmierna centralizacja... Od tego czasu wiele było prób zaradzenia temu stanowi rzeczy, pod postacią tzw. zagospodarowywania terenów, wychowania powszechnego, kultury ludowej itd. Lecz problem podstawowy pozostał nierozwiązany: w jaki sposób zapobiec, by kraj przeobrażający się z dużą szybkością pod wpływem postępu technicznego, nie stał się zlepkiem żądz anarchistycznych, pozbawionych pamięci i sumienia? Na początku XX wieku, gdy rozwój środków transportu czyni niesłychane postępy, znikają dawne struktury, lecz na ich miejsce nie pojawia się nic innego. Barrès i Maurras, sojusznicy regionalizmu lotaryńskiego i prowansalskiego, usiłują związać z ziemiami prowincji rozpadającą się na wszystkie strony ojczyznę. Intencja była dobra, lecz z góry skazana na niepowodzenie, ponieważ była powzięta w duchu reakcji, bez perspektyw na przyszłość. Od tej chwili nacjonalizm mógł uwiecznić przeszłość jedynie w folklorze, marzyć o nierealnym powrocie do ziemi, względnie ogrzewać się w ostatnich blaskach szkoły literackiej „félibridge". Co począć z przeszłością narodową, gdy ustrój burżuazyjno - demokratyczny i techniczny zrywa z dawnymi obyczajami, niweluje różnice, zabija radość i pieśń, stwarza wszędzie ludzi pozbawionych wspomnień? Barrès w sposób niemal fizyczny, boleśnie, rozpaczliwie odczuł wszystko co w owym czasie zginęło i co ginie nadal. Jednakże nie widzi, że jeżeli będzie się czepiał integralności jej form, że jeśli będzie bronił tej przeszłości po linii politycznej, tak jak i po linii kulturalnej, nie uratuje z nich nic poza muzeami, odnowionymi posągami, nutami starych pieśni. Był jeden sposób ożywienia przeszłości: należało razem z ojczyzną przekazać ją tym, których kapitalistyczny wyzysk wyłączył z przyjaźni ogółu Francuzów. Przeszłość może być prawdziwie odnaleziona jedynie w nowej politycznej formie przystosowania narodowego, jedynie w nowym prawdziwym skoku w przyszłość powszechnie nazywanym rewolucją...

NACJONALIZM miał zbudować przyszłość; żądał dziedzictwa. W obliczu dekadencji, której, jak widzieliśmy, słusznie się przeciwstawiał, wybrał siły przeszłości, stał się konserwatywny. U niektórych z jego wyznawców prześladująca ich myśl o ginącej ojczyźnie zdławiła nawet nadzieję. Znużeni życiem w ojczyźnie zamierającej, pójdą — jak Drieu — szukać tajemnicy odmłodzenia u barbarzyńców. W roku 1904 Barrès w przebłysku jasnowidzenia ujawnił tę skrajną sprzeczność, jaką przedstawiają nacjonaliści wypierający się swojej ojczyzny. „Że konserwatyści pogodzą się i wezwą wroga — tak. Ci, którzy obecnie są patriotami, ludzie dumni, zmęczeni życiem w upokorzonej i okrojonej Francji, będą domagali się aneksji — jeżeli to będzie w Lotaryngii — lub interwencji zagranicy, co dałoby im radość partycypowania w wielkim zbiorowym życiu; natomiast wręcz przeciwnie, za granicą opór personifikować będzie demagogia jansenistowska". Prorocza przepowiednia człowieka, którego uczucia dla Francji były tak mocne, że nie mógłby jej nigdy opuścić, a jednocześnie człowieka tak szczodrego i szlachetnego, że nigdy nie próbował przywłaszczyć jej sobie.

Istotnie dramatem nacjonalizmu francuskiego stało się to, że powstał w przeciwstawieniu do innego nacjonalizmu, o wiele potężniejszego i bardziej owocnego — nacjonalizmu określonego wroga.

Podczas gdy intelektualiści francuscy opierali swoją nową doktrynę bądź na **ludzie** (tradycja bonapartystowska i raczej kierunek Barrèsa), bądź na **państwie** (tradycja Richelieu i kierunek raczej Maurrasa), a niektórzy bardzo zresztą nieśmiało na **rasie**, w Niemczech łączono te trzy elementy w jedną dynamiczną całość. W tym miejscu powstał następujący dylemat: gdyby nacjonalizm francuski utrzymał się we własnych ramach, to w stosunku do Niemiec zostałby pokonany. Dla zachowania przeciwwagi musiał rzucić się w wir zrywu patriotycznego, posiadającego źródło dawniejsze i liczniejsze niż on sam — uczynił to w roku 1914. Jednakże po wielkiej wojnie, gdy rozpętany został ruch nazistowski, chciał znowu okopać się na własnych pozycjach, bezpłodny i niemiły większości obywateli. Wyłączając się ze wspólnoty narodowej, miał się stać nieszczęsnym pomocnikiem wroga: trudno rzeczywiście bronić swej koncepcji Francji przeciwko wrogowi i masie Francuzów. Dziś w obliczu nowego odradzania się germanizmu pod płaszczykiem europejskim, nasz nacjonalizm znowu popadł w trudną do rozwiązania sprzeczność: do uratowania Francji mógłby przyczynić się jedynie, gdyby przestał walczyć w imię zasad wspólnych naszemu przeciwnikowi (kult siły, racji stanu, mitów rasistowskich, militaryzmu itd.) i przestając dzielić jego obsesję antykomunistyczną.

Znaczenie nacjonalizmu francuskiego, który pozostał narodowy, polega na tym, że nieustannie zwalczał pokusę pogodzenia się z tym, że Francja pozostałaby ojczyzną czysto idealną, mistrzynią ducha i sztuki, wykwintnego krawiectwa, a za cenę tego mistrzostwa pozwolono by, by Niemcy uzyskały potęgę przemysłową i objęły polityczne kierownictwo w Europie. To właśnie zrzeczenie się Barrès potępia u swoich przeciwników z gwałtownością, czasem niesprawiedliwą. A jednakże zrzeczenie to nie było tylko widmem, jego możliwość unosiła się nad Francją w okresie roku 1914.

Przypomnijmy sobie, co pisze Péguy, przypomnijmy sobie jego gwałtowne wystąpienia. Po roku 1940 ponowiła się pokusa wówczas, gdy z Vichy nawoływano, byśmy stali się Ateńczykami i przyszłymi zwycięzcami (ponieważ jesteśmy sprytniejsi) SS-mańskiej Sparty. Dziś również jawi się przed nami ta sama pokusa przybrana w płaszczyk sentymentalizmu, a nawet i religijny. Tu nacjonalizm uderza wprost w słabe miejsce polityki, która zapomina o więzach ducha, stanowiących najmocniejszą podstawę kultury.

Zamieszczony powyżej esej J. M. Domenacha ukazał się w jednym z ostatnich numerów „Esprit", skąd go przedrukowujemy po nieznacznych skrótach. Red.

PIOTR ZIEMSKI

NAUKA W SŁUŻBIE URODZAJÓW

W sierpniu br. zostanie otwarta w Moskwie Wystawa Rolnicza, która będzie wielkim przeglądem osiągnięć radzieckiego rolnictwa; wystawa ta zostanie również poświęcona pracom badawczym w zakresie agrotechniki i agrobiologii — nauk, które w ZSRR dzięki nowym warunkom ustrojowym — mają ogromne możliwości rozwojowe.

Zamieszczony poniżej artykuł — nie ujmując w zasadzie zagadnienia w sposób problemowy — ma na celu zapoznanie czytelnika z ciekawymi, a często rewelacyjnymi wynikami badań naukowych, przeprowadzanych przez radzieckich agrobiologów.

REDAKCJA

ROŚLINA zielona jest jedynym laboratorium, w którym odbywa się na wielką skalę synteza materiału organicznego i gromadzi się energia słoneczna. Ta zdolność rośliny umożliwia życie człowieka i zwierzęcia. Energia słoneczna pobierana przez zielone rośliny przejawia się z kolei podczas przemian we wszystkich czynnościach ustroju zwierzęcego. Dwutlenek węgla, woda i inne proste związki wydzielane przez zwierzęta, służą znów roślinom jako pożywienie. Te osobliwe cechy roślin i zwierząt oraz ich wzajemna zależność są biologiczną podstawą produkcji rolniczej.

Rolnictwo, dostarczając energii zawartej w plonie roślin, dostarczając surowców, spełnia jedno z głównych zadań obiegu materii w przyrodzie.

Oczywiście, im więcej związków organicznych wytworzy roślina, tj. im większy będzie jej plon, tym więcej nagromadzi się energii, z której człowiek może korzystać.

Istnieją ogromne możliwości zwiększania plonów roślin uprawnych, gdyż nie są one wytworem samej tylko przyrody, ale również oddziaływania człowieka na te lub inne kompleksy czynników przyrodniczych, które warunkują otrzymanie plonu. Czynniki rozwoju roślin są ze sobą ściśle związane i nie można rozpatrywać każdego z nich osobno, ale tylko w łączności i wzajemnej zależności. Jeżeli jednocześnie będziemy wpływać na wszystkie czynniki, to plony roślin będą stale wzrastać.

Rozwój nauki, przede wszystkim radzieckiej, pozwala nam na coraz to dokładniejsze poznawanie praw rządzących procesami zachodzącymi w glebie i na coraz lepsze poznanie praw rozwoju roślin, a przede wszystkim przez dobór najodpowiedniejszych w danych warunkach odmian roślin i przez stworzenie optymalnych warunków dla ich rozwoju.

Większość zabiegów agrotechnicznych stosowanych w rolnictwie polega na oddziaływaniu pośrednim — przez zmianę warunków bytowania, zwłaszcza zaś przez zmianę warunków glebowych. Z kolei wpływ środowiska otaczającego zmienia potrzeby procesów fizjologicznych w roślinach i odbija się nie tylko na przebiegu ich wzrostu i rozwoju, lecz i na cechach przekazywanych przez nie potomstwu.

Nie ma takiej rośliny, której potomstwa nie można by było ulepszyć przy pomocy odpowiednich warunków uprawy; z drugiej strony najlepsza odmiana może zatracić swe dobre właściwości w złych warunkach środowiska.

Z tego twierdzenia wyciągnięto w ZSRR szereg wniosków dla hodowli i nasiennictwa, uwzględnienie których w praktyce przynosi olbrzymie korzyści rolnictwu.

Wnioski takie w stosunku do nasiennictwa radzieckiego zostały sformułowane przede wszystkim przez akademika Łysenkę.

Łysenko wykazał, że można zmieniać cykl życiowy rośliny. Stworzył on doskonale skonstruowaną teorię rozwoju stadialnego roślin i stosując ją w praktyce, opracował skuteczne sposoby kierowania organizmem rośliny. W tworzeniu tej teorii opierał się Łysenko na wskazaniach Miczurina, dotyczących rozwoju stadialnego drzew owocowych. Wykrył on, że u roślin nasiennych istnieją dwa stadia rozwoju: stadium jarowizacji i stadium świetlne. Dla przejścia pierwszego stadium niezbędny jest zespół warunków, w którym określoną rolę odgrywa temperatura; dla przejęcia drugiego — konieczne są określone warunki świetlne. Roślina, która nie przejdzie stadium jarowizacji — nie będzie się kłosić. Łysenko ustalił, że przechodzić stadium jarowizacji mogą nie tylko rośliny wysiane w polu, lecz i w napęczniałym ziarnie. Po wysiewie takich nasion w polu odmiany jare późno dojrzewające zachowują się jak wczesne, a oziminy — jak odmiany jare.

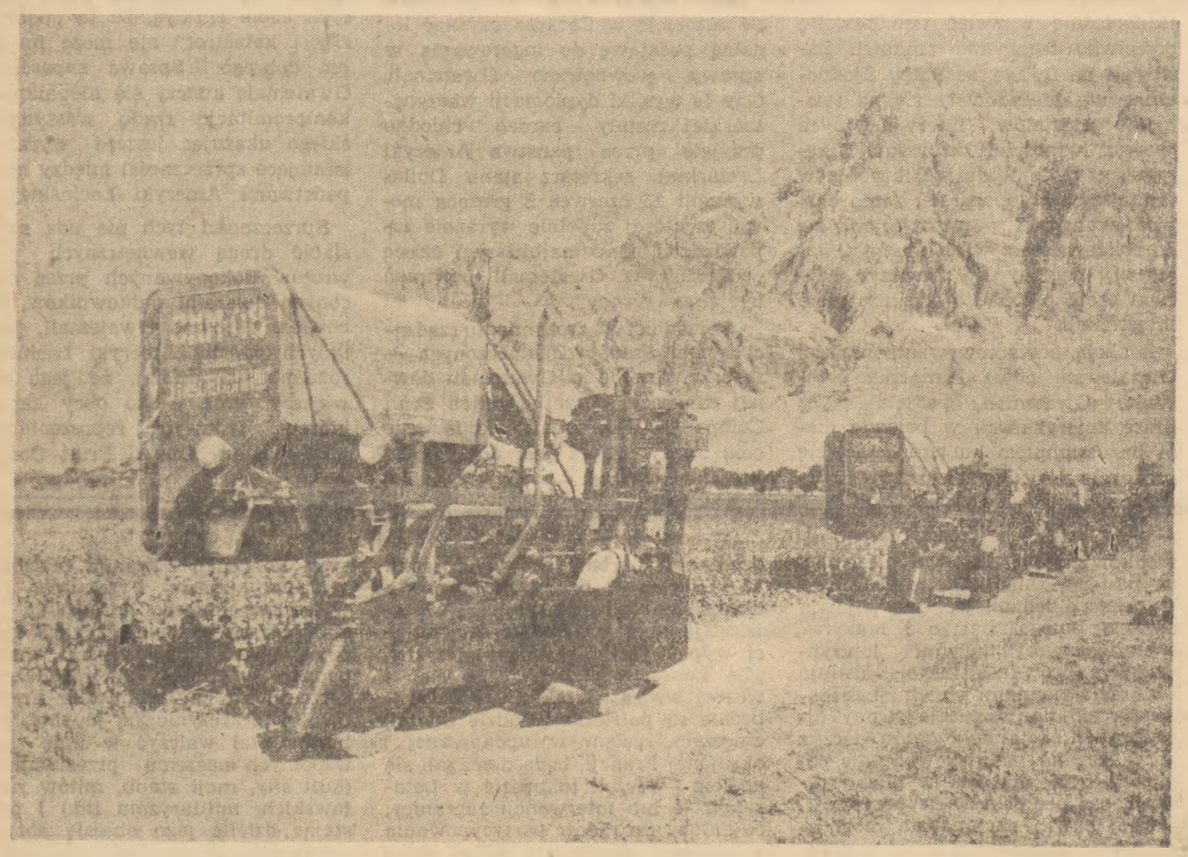

Najnowszy model kombajnu radzieckiego do zbierania bawełny

Jarowizacja jako zabieg agrotechniczny stosowany do roślin uprawnych rozpowszechniła się szeroko w praktyce rolnictwa radzieckiego i została opracowana dla wielu roślin: pszenicy, żyta, jęczmienia, owsa, prosa, kukurydzy i innych. Okazało się np. przy jarowizacji rozpowszechnionych w ZSRR odmian jarych pszenic, że pszenica jarowizowana wschodzi szybciej i równomierniej, że przyśpiesza się jej okres kłoszenia i dojrzewania. Przyśpieszenie dojrzewania chociażby o 3-4 dni w nawiedzanych przez posuchy obszarach ZSRR zwiększa plony, ponieważ pszenice jare mniej cierpią wówczas i od suszy i suchowiejów. Na północy, gdzie lato jest krótkie, zasiewy jarowizowanymi nasionami lepiej dojrzewają. Zwyżka plonu osiągnięta przy stosowaniu jarowizacji w wielu kołchozach i sowchozach wynosi do 9 q na hektar, a obsiew jarowizowanymi nasionami w ZSRR już w r. 1940 wynosił ponad 10 mln. hektarów.

Na podstawie teorii rozwoju stadialnego opracowane zostały sposoby przemiany pszenicy ozimej w jarą i jarej w ozimą. W ostatnim przypadku otrzymuje się pszenice bardziej odporne na mrozy, co jest bardzo ważne dla wschodnich obszarów ZSRR. Opracowano również sposób jarowizacji ziemniaków, który umożliwia otrzymanie wyższych i wcześniejszych plonów. Ustalono przyczyny wyradzania się ziemniaków w południowych obszarach ZSRR i opracowano metody walki z ich wyradzaniem się przez stosowanie letniego sadzenia. Letnie sadzenie ziemniaków dało wielkie oszczędności państwu (zaprzestano corocznego przewozu ziemniaków z północnego rejonu na południe), zapewniło południowym stepowym obszarom zaopatrzenie we własne wysokowartościowe ziemniaki i znacznie zwiększyło plony na południu. Oprócz tego było to doświadczenie przeprowadzone na wielu tysiącach hektarów, które potwierdziło, że dziedziczne właściwości organizmów mogą się rzeczywiście silnie zmieniać pod wpływem zmienionych warunków rozwoju.

W celu przeciwdziałania wyradzaniu się odmian roślin samopylnych (np. pszenica, pomidory) zastosowano w ZSRR krzyżowanie roślin samopylnych wewnątrz odmiany. Przeprowadzone doświadczenia wykazały zwyżkę plonów pszenic 3—8 q z 1 ha po zastosowaniu krzyżowego zapylania.

Większość odmian roślin jest rezultatem planowego oddziaływania pracy ludzkiej na biologiczne właściwości roślin, tak aby służyły w odpowiednich warunkach gospodarczo - klimatycznych określonym potrzebom społeczeństwa. Jednorodność i wyrównanie pod względem formy nie są więc w odmianie tak ważne, jak trwała plenność przy jednorodności i dużej stosunkowo trwałości cech gospodarczych, użytkowych.

„Stwarzając dla organizmów nowe warunki bytowania lub usuwając działanie tych lub innych istotnych czynników środowiska zewnętrznego można stworzyć nowe gatunki roślin, pożyteczne dla praktyki rolniczej, a także zapobiegać powstawaniu szkodliwych dla rolnictwa gatunków (chwastów)" — czytamy w agrobiologii T. Łysenki.

Z naukowym kierunkiem Miczurina i Łysenki łączy się teoria wybitnego radzieckiego rolnika, akademika W. Williamsa. Podobnie jak Miczurin i Łysenko opracowali teorię kierowania rozwojem organizmów roślinnych i zwierzęcych, Wiliams stworzył teorię kierowania żyznością gleby. Opracował on naukowe podstawy trawopolnego systemu rolnictwa, który obejmuje zespół środków działania, zmierzających do zwiększenia żyzności gleby. Wiliams wskazał na to, że socjalistyczne rolnictwo powinno kształtować się na podstawie harmonijnego uwzględnienia wszystkich gałęzi produkcji rolnej. Prawidłowy system uprawy i nawożenia roli, racjonalne wyzyskanie i słuszny rozkład użytków rolnych, leśnych i łąkowych — oto podstawowe ogniwa tego systemu.

Na tych naukowych podstawach został opracowany i wprowadzony w życie wielki Stalinowski Plan Przeobrażenia Przyrody w obszarach ZSRR nawiedzanych przez posuchę. Plan ten przewidywał m. in. wykonanie prac nad stworzeniem leśnych pasów wiatrochronnych o łącznej powierzchni 6,2 mln. ha. Mają one na celu odgrodzenie pól od wysuszających suchowiejów, przeszkodzenie zwiewaniu śniegu z pól, zatrzymywanie w glebie wód śniegowych i deszczowych, regulowanie zaopatrywania rzek w wodę, utrwalenie piasku oraz brzegów wąwozów i parowów, wreszcie zwiększenie wilgotności powietrza przez zwiększenie parowania wody. Stworzenie zaplanowanych kilkudziesięciu tysięcy kołchozowych stawów i zbiorników wody zwiększa również wilgotność powietrza, podnosząc jednocześnie poziom wód gruntowych i umożliwiając nawadnianie pól.

Gigantyczne przeobrażenie przyrody w ZSRR zmusza z kolei do tworzenia nowych form roślin, które by mogły dostatecznie efektywnie wyzyskiwać stwarzane dla nich sprzyjające warunki życiowe i które odpowiadałyby nowemu, coraz wyższemu poziomowi kultury rolnej. O możliwości stworzenia takich nowych form świadczą przykłady wspaniałej pszenicy gałęzistej, która przy wysokiej kulturze rolnej może dawać plony od 80-100 q z ha.

O możliwości stałego wzrostu plonów uczy nas nie tylko nauka, ale obecnie już i praktyka przodujących gospodarstw Związku Radzieckiego. Większość agrotechnicznych zabiegów ma na celu stworzenie możliwie jak najpomyślniejszych warunków dla rozwoju roślin tak, aby mogły one dać jak najobfitszy plon. Ale nawet najprostsze i pozornie najłatwiejsze zabiegi agrotechniczne wykonane niewłaściwie mogą przekreślić efekt pozostałych racjonalnych zabiegów. „Wprowadzenie kulturalnej orki pługiem zaopatrzonym w przedpłużek — pisał Wiliams — jest na pewno najważniejszym zadaniem rewolucyjnej agronomii radzieckiej. Ponieważ niestrukturalność gleb przekreśla efekty wszystkich bez wyjątku zabiegów agronomicznych".

Toteż jedynie wprowadzanie i stosowanie wszystkich zdobyczy naukowych rolnictwa do praktyki, a przede wszystkim właściwych płodozmianów, prawidłowej uprawy i nawożenia, wreszcie wprowadzanie wysokoprodukcyjnych, odpowiednich dla danego rejonu roślin zapewnia stały wzrost plonów.

Prawidłowa uprawa i nawożenie oraz przeprowadzenie wszystkich zabiegów agrotechnicznych w odpowiednim czasie i w odpowiedni sposób jest obecnie nie do pomyślenia bez szerokiego zastosowania mechanizacji.

W okresie stalinowskich pięciolatek socjalistyczna gospodarka rolna ZSRR została wyposażona w nowoczesne urządzenia techniczne. Obecnie ZSRR pod względem zmechanizowania robót w gospodarstwach rolnych, ilości maszynowego wyposażenia oraz jego wykorzystania jest na pierwszym miejscu w świecie. Dalszy wzrost mechanizacji rozwija się na nowych, coraz bardziej udoskonalonych podstawach; mechanizację stosuje się do całego szeregu procesów dotychczas nie zmechanizowanych. Opracowano w ostatnich latach szereg nowych, najbardziej udoskonalonych ciągników, samobieżnych i przyczepnych kombajnów, samobieżnych kosiarek, kombajnów do zbioru lnu, maszyn do sadzenia ziemniaków, sprzętu buraków, kukurydzy, nasion koksagyzu i wiele innych maszyn rolniczych. Całkowita mechanizacja coraz szerzej obejmuje różne działy radzieckiej produkcji rolnej kolektywnej i państwowej.

Elektryfikacja, jako wyższy stopień mechanizacji gospodarstw rolnych szczególnie szerokim kręgiem ogarnęła osiedla wiejskie ZSRR w powojennym planie pięcioletnim. Zastosowanie elektryczności w gospodarstwach rolnych podwyższa w ogromnym stopniu wydajność pracy, polepsza jakość robót, obniża wydatki i straty oraz zwiększa produkcję.

W związku z ogromnym wzrostem mechanizacji i elektryfikacji gospodarstw rolnych ZSRR i z coraz bardziej wzrastającym przejmowaniem robót przez stacje maszynowo-traktorowe, duże znaczenie posiada również „mała mechanizacja", tzn. wykorzystanie w kołchozach zwykłych maszyn i sprzętu, jak również umiejętne połączenie pociągowej siły koni z siłą pociągową traktorów.

Zastosowanie w ZSRR prawidłowych płodozmianów oraz wysokiej agrotechniki i mechanizacji możliwe było jedynie na bazie dużych gospodarstw państwowych i spółdzielczych. System gospodarczy bowiem i system rolniczy tworzą nierozłączną całość.

Rosnące stale plony otrzymywane przez przodowników rolnictwa radzieckiego obalają całkowicie stare poglądy o istnieniu granicy wysokości plonów. Granicą jest nie natura roślin i ich zdolność produkcyjna, ale stopień opanowania praw przyrody i umiejętność ich technicznego wykorzystania przez człowieka,

Dzięki nowoczesnym metodom agrotechniki radzieckiej granica uprawy winogron przesunęła się daleko na północ

Prasa francuska donosi:

Ku amerykańskiemu kryzysowi

Zamieszczamy poniżej z niewielkimi skrótami ciekawy artykuł o zbliżającym się kryzysie ekonomicznym w Stanach Zjednoczonych drukowany na łamach postępowego pisma francuskiego „La Quinzaine" w numerze z dnia 1 czerwca br.

Redakcja.

Czy wybuchnie w tym roku najpoważniejszy w historii Stanów Zjednoczonych kryzys ekonomiczny? Perspektywa ta zaczyna alarmować coraz szersze kręgi opinii amerykańskiej i opinii światowej. Żaden Amerykanin nie zapomniał wielkiego kryzysu, który rozpoczął się w roku 1929. W kołach oficjalnych utrzymuje się pozory, że kryzys jest nie do pomyślenia. Dlatego właśnie prezydent Eisenhower w swojej mowie na Kongresie z początkiem stycznia 1954 głosił, że „cały świat jest zachwycony gospodarką amerykańską", zaprzeczając w ten sposób możliwości powstania kryzysu w Stanach Zjednoczonych.

A jednak wielu ekonomistów amerykańskich musiało przyznać, że zachodzi pewien „downturn", czyli „zwrot w dół". Ich australijski kolega, Colin Clark, przewiduje kryzys na połowę bieżącego roku, a ekonomista sowiecki Varga twierdzi, że zachodzi tu „klasyczny" wypadek kryzysu nadprodukcji. Amerykańscy spece od ekonomii wzdragają się jednak przed użyciem słowa „kryzys", właśnie z powodu strachu, jaki ono wzbudza. Prezes „United States Steel Corporation" oświadczył nawet: „My sami, przez nasze rozmowy o kryzysie, możemy kryzys spowodować!" Wolą więc takie wyrażenia jak „chwilowe uspokojenie", „tendencja zniżkowa", „zwolnienie rytmu rozwojowego", „regularyzacja", „normalne przystosowanie się do nowych warunków", „przerwa", a odważniejsi używają słowa „recesja".

Jakkolwiek rzeczy się przedstawiają, tylko uważna ocena sytuacji, w jakiej znajduje się obecna amerykańska gospodarka, może pozwolić na ustalenie, czy zbliża się kryzys w Stanach Zjednoczonych.

POWAŻNE SYMPTOMY

Aż do ubiegłego roku produkcja amerykańska wzrastała. Jednakże nadprodukcja już istniała. Przyczyną jej jest dysproporcja między całością dóbr wyprodukowanych, a możliwością kupowania ich przez konsumentów. Niewystarczalność siły nabywczej szerokich warstw ludności USA jest bardzo wyraźna. Przeciętny zarobek godzinowy zwiększył się w latach 1939—1952 o 160 proc., ale koszt utrzymania wzrósł o 185 proc., tak, że siła nabywcza spadła o ok. 9 proc.

Zwiększenie się zysków w tym samym okresie nie może zrównoważyć nadprodukcji, bo tylko małą ich część zużywa się na nabywanie dóbr codziennego użytku.

Rezultatem niewystarczającego zbytu jest zwiększenie zapasów i rozwój sprzedaży na kredyt. Ale w chwili obecnej można stwierdzić poważny spadek produkcji z równocześnie akcentującą się zniżką cen i wzrostem bezrobocia.

W Stanach Zjednoczonych nagromadzono znaczne zapasy towarów. We wrześniu 1953 oceniano zapasy prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych, handlu hurtowego i detalicznego na 82 miliardy dolarów. Wprawdzie od listopada zapasy zmniejszyły się, ale nie oznacza to poprawy. Przyczyną tego nie jest wzrost konsumpcji tylko nieproporcjonalny spadek produkcji. Bez względu na to zapasy są jeszcze olbrzymie. Np. w przemyśle samochodowym jest na składzie 600.000 samochodów. W tymże okresie (koniec września 1953) wartość zapasów produktów rolniczych wynosiła około 6 miliardów dolarów. Ponieważ magazyny okazały się niewystarczające, Amerykanie zsypują zboże do starych, wycofanych z użytku, okrętów. Wartość zapasów rządowych surowców strategicznych przewyższa 5 miliardów dolarów.

Sprzedaż na kredyt wzrosła w maju 1952 z 19 do 24, a następnie do 28 miliardów dolarów. Jeden na sześciu amerykańskich nabywców nie płaci już gotówką za to co kupuje. A jeśli weźmie się pod uwagę olbrzymie zapasy kuchenek elektrycznych, lodówek, maszyn do prania, aparatów radiowych i wielu innych przedmiotów, zrozumie się, że amerykańscy handlowcy zrobili wszystko w kierunku rozwinięcia tego sposobu kupowania. Jeżeli do sprzedaży na kredyt w dosłownym tego słowa znaczeniu dodamy jeszcze kredyty przyznawane na budowę mieszkań i zahipotekowane, przekonamy się, jak olbrzymie jest zadłużenie ludności. Ludzie prywatni i towarzystwa amerykańskie są zadłużeni na ogólną sumę 333 miliardów dolarów. Suma ta przewyższa sumę dochodu narodowego; jest trzy razy większa od zadłużenia obywateli amerykańskich w roku 1929.

Ale ani tworzenie się zapasów, ani sprzedaż kredytowa nie mogły powstrzymać dużego cofnięcia się produkcji. Wskaźnik aktywności przemysłowej przesunął się w czasie od lipca 1953 do marca 1954 ze 137 do 123, co stanowi cofnięcie się o 14 proc. Zniżka rozpoczęła się w sektorze produktów konsumpcji bieżącej (zwłaszcza tekstylia i skóra), wykazując osłabienie siły nabywczej ludzi zarobkujących. Następnie ciężko zostały dotknięte dobra urządzeniowe. Od marca do grudnia 1953 produkcja stali spadła o 22 proc., a z nowym rokiem tendencja ta jeszcze utrwaliła się. Stalownie amerykańskie wykorzystują już tylko 70 proc. swojej możliwości produkcyjnej. Np. Republic Steel Corporation zgasiła z końcem lutego jeden ze swoich pieców i jeden z wielkich pieców; czynnych ma zatem już tylko pięć wielkich pieców na ogólną liczbę siedmiu i dwadzieścia pieców na ogólną liczbę trzydziestu.

Konsekwencją zwolnienia tempa aktywności jest wzrost bezrobocia za Atlantykiem. Fabryki masowo rozpuszczają swoich pracowników. Oficjalna liczba bezrobotnych wynosiła w kwietniu 1954 3.465.000. Do bezrobocia całkowitego trzeba dodać bezrobocie częściowe, którym dotkniętych jest co najmniej milion osób. Przewodniczący C.I.O., jednej z dwu wielkich federacji syndykalnych, oświadczył, że łączna liczba bezrobotnych wynosi „co najmniej 5 milionów". Skracanie czasu pracy przybiera najrozmaitsze formy. W przemyśle samochodowym Packard Motor Car wstrzymał produkcję w ciągu jednego tygodnia w lutym i jednego tygodnia w marcu, a Chevrolet skrócił tydzień pracy do czterech dni. To samo dzieje się w fabrykach przerabiających żelazo, metale nieżelazne itd. Miasto samochodów, Detroit, posiada 140 tysięcy zupełnych bezrobotnych i dużą ilość częściowych bezrobotnych. Wskutek wzrostu bezrobocia nastąpiła zniżka zarobków w ciągu pierwszych miesięcy roku. Bezrobocie i redukcja płac wpływają poza tym na zmniejszenie konsumpcji i w rezultacie mogą tylko przyśpieszyć nadejście kryzysu amerykańskiej gospodarki.

GROŹBA KRYZYSU ZWIĘKSZA NIEBEZPIECZEŃSTWO WOJNY

Tak więc w USA zauważyć można wszystkie symptomy zwiastujące kryzys typu „klasycznego". Potężne zapasy, nadmiernie rozwinięta sprzedaż na kredyt, zmniejszająca się produkcja, początek spadku cen, szybki wzrost bezrobocia. Do tego należy jeszcze dodać zmniejszenie się eksportu zapoczątkowanego w roku 1951. Tak jak przy wszystkich kryzysach, które miały miejsce od półtora wieku, pierwotną przyczyną jest niedostateczna siła nabywcza mas ludowych. Trzeba więc mówić o nadchodzącym kryzysie, a nie o „regularyzacji", „przerwie" czy „adaptacji".

W obecnych warunkach kryzys wydaje się być nieunikniony. Co prawda, od czasu Roosevelta Amerykanie przygotowywali posunięcia antykryzysowe. W niektórych dziedzinach, zwłaszcza w rolnictwie, możliwa, a nawet konieczna jest interwencja rządowa. Ale republikanie, wierni zasadzie „swobodnej inicjatywy", nie odnoszą się do tego przychylnie. Najbardziej energicznym środkiem, jaki zastosowali, było obniżenie podatków: 10 procentowa obniżka podatku dochodowego, obniżka podatków od zysku towarzystw i zysku od kapitału, obniżka stawki amortyzacyjnej. Środek ten faworyzuje oczywiście głównie wielkie przedsiębiorstwa, których republikanie są bezpośrednimi przedstawicielami w Waszyngtonie, a nie wpływa na zwiększenie siły nabywczej ludzi pracy.

Ludzie kierujący amerykańską gospodarką mają w każdym razie do dyspozycji jeden potężny hamulec kryzysowy: intensywna produkcja broni. Tego hamulca używali zresztą do woli i nagromadzili znaczne zapasy. Oczywiście fabrykacja na przykład bomby wodorowej zużywa mnóstwo kredytów. Od czasu do czasu robiona próba eksplozji bomby atomowej, dostawa broni „krajom wolnego świata" i militaryzacja gospodarki — nie są jednak środkami wystarczającymi, aby pozwolić na uniknięcie kryzysu. Obecnie ukazują się inne jeszcze możliwości mogące zahamować przyjście kryzysu, mianowicie otwarcie olbrzymich rynków — sowieckiego i chińskiego dla produkcji amerykańskiej, ale rząd amerykański uparcie wzbrania się od handlu Wschód-Zachód.

Zanim jednak kryzys wybuchnie, rząd amerykański zdecydowany jest uczynić wszystko, aby go od siebie odsunąć. Nie zapomnijmy, że, ponieważ zbrojenia są w toku, pokusa posłużenia się bronią jest bardzo duża. Fakt ten rzuca światło na chęć amerykańskiej interwencji w Indochinach, pogróżki skierowane przeciwko Chinom Ludowym i wysiłki zmierzające do niedopuszczenia do pomyślnych wyników konferencji genewskiej, jak również na niedopuszczalną prosię na Gwatemalę. Już w latach 1948—1949 można było zauważyć pierwsze oznaki kryzysu nadprodukcji w Stanach Zjednoczonych. Opóźnia go jedynie wojna koreańska. Zdaniem niektórych ludzi, kierujących gospodarką amerykańską, wojna jest jedynym rozwiązaniem zapobiegającym kryzysowi. Łącząc się z wszystkimi narodami świata, wraz z narodem amerykańskim, który wcale nie ma ochoty, żeby ich „boys" znowu wyruszyli, musimy zwrócić na to baczną uwagę.

JERZY STADNICKI

II Nagroda w Konkursie Literackim „Dziś i Jutro"

POLSKIE DROGI

(dokończenie z poprzedniego numeru)

Zgodnie z przewidywaniem Marty — „nikogo" o tej porze w teatrze nie było. Ani dyrektora, ani reżysera. Gustaw ciskał się i miotał domagając się głosem wielkim rozmowy z najwyższymi władzami, nikt nie zwracał na niego uwagi, każdy się śpieszył, każdy go potrącał, stał się wśród tych zgranych ze sobą ludzi kimś obcym i drobnym, dostrzegalnym tylko dlatego, że zawadza, że się pląc'e między nogami. Aktorzy siedzieli już w ciężarówce, wóz na gazie cały dygotał, wydawano jakieś ostatnie zlecenia, Martę przywitano okrzykami: „No jesteś nareszcie", „Jak długo mamy na ciebie czekać", „Prędzej, prędzej!" — podano jej rękę, wgramoliła się do ciężarówki, wóz ruszył, Gustaw w ostatnim momencie, zupełnie nieprzemyślanie i bez sensu wskoczył za nią — i jechał.

Jechał i od razu zadał sobie pytanie, dokąd jedzie, w jakim celu i co go tam gna. Odpowiedzi naturalnie dać sobie nie umiał, dla tej prostej przyczyny, że żadnej sensownej odpowiedzi nie było. Jechał przypadkiem, jechał mimo woli i „wbrew woli" — po prostu jechał. Należało zatrzymać wóz, wysiąść, wydostać się z tej niezręcznej sytuacji. I jakoś — nie mógł na to się zdobyć. Czuł się onieśmielony w zespole osób, mających sobie mnóstwo do powiedzenia, powiązanych nićmi wspólnych, ale niewiadomych mu spraw. Były to sprawy fachowe, teatralne, wobec których laik „z tej strony" kurtyny bywa zawsze kimś, a nawet czymś doskonale nieważnym. Istnieją takie zawody, bardziej jakoś od innych odseparowane, klanowe, snobistyczne, mające ludzi nie spośród swego grona — za nic. Sprzyja temu zawodowy strój, zawodowy język, a także moment wywyższenia, estrady, kurtyny, oddzielenia — wszystko to, co przeciwstawia fachowca — szaremu tłumowi, jakiejś „reszcie". Do takich zawodów należą w pierwszym rzędzie zawody duchownego i wojskowego, lekarski i aktorski. W swoim szpitalu, w swoim białym fartuchu Gustaw czuł się kimś nieskończenie lepszym od najdostojniejszego pacjenta. A w tym samochodzie zdawał sobie sprawę, że każdy pracownik, obojętne — artystyczny czy techniczny — ma prawo spoglądać na niego z góry. Dlatego — nie śmiał zatrzymać samochodu, ani dać znaku życia, siedział jak mysz pod miotłą rad, że nikt nie zwraca na niego uwagi.

Ale była i inna przyczyna. Ludzie teatru posiadają szczególną zdolność budzenia wokół nieśmiałości. Aktor to — no wiadomo, aktor, artysta, człowiek za pan-brat ze sztuką, codziennie oklaskiwany, na powszednio wytworny, a do tego — człowiek uważnie, krytycznie i niekoniecznie życzliwie obserwujący bliźnich, obserwujący ciebie, podpatrujący każdy twój gest, każdą niezręczność, żeby potem publicznie ją wykpić, wydać na pośmiewisko znajomych.

Dopiero teraz i dość raptownie Gustaw pojął, dlaczego zawód żony napawał go zawsze pewną niechęcią, dlaczego, podziwiając ją na scenie, doznawał zarazem dość niejasnego, ale przykrego uczucia niższości, dlaczego czuł się zażenowany wobec jej kolegów, jej zawodu i jej spraw. Byłby teraz oddał wiele, żeby umknąć stąd bardzo daleko, ale niepostrzeżenie i bez zwracania na siebie uwagi. Ponieważ jednak było to niemożliwe — nie pozostawało nic innego, jak jechać i wrócić potem tą samą okazją.

Tymczasem samochód kłapał brezentowymi płachtami, wchłaniał w siebie zimno i gnał naprzód. Gustaw, któremu nie dostawało odwagi, żeby zapytać o cel jazdy — mógł stwierdzić, że jedzie już dziś po raz drugi tą samą trasą. Było mu to zresztą obojętne. Dokądkolwiek udawał się — to nie w charakterze widza. Pragnął tylko, żeby ta irytująca podróż skończyła się jak najprędzej. Zdążył tego już zmarznąć, gdyż sądząc, że udaje się do teatru, który znajdował się o dwa kroki od domu, zarzucił był na siebie pierwsze okrycie, które mu się nawinęło pod rękę i którym okazała się wiatrem podszyta jesionka. Nie zabrał też kapelusza ani czapki. Teraz — chciał skrócić czas i oszukać zimno papierosem, ale skonstatował z wściekłością, że nie ma przy sobie ani jednego. Marta nie paliła, poza tym siedziała daleko, on zaś nie miał ochoty prosić ją o pośrednictwo.

Chcąc nie chcąc skazany był więc na martwe przysłuchiwanie się rozmowom, jakie prowadzili aktorzy. Znał niby wszystkich, jednych jako pacjentów, innych jako kolegów żony, jednakże tak się pechowo, a może właśnie szczęśliwie dla niego złożyło, że parę osób, znajdujących się w jego najbliższym sąsiedztwie — znał tylko z widzenia. Nikt go nie spytał, co tu robi, ci zaś, którzy znali go dobrze i byliby to uczynili — nie widzieli go i nie wiedzieli, że jedzie, ponieważ na dworze, a tym bardziej w samochodzie było już ciemno.

Rozmowa, a raczej strzępki dolatujących go rozmów były typowym gawędzeniem aktorskim, typowym nie tylko dlatego, że toczyły się wokół spraw teatralnych, ale również dzięki specjalnemu swojemu klimatowi, jakiejś artystycznej atmosferze, w której narzekania, dowcip, erotyka i błyskotliwość tak charakterystycznie się przeplatają.

rys. Barbara Jonscher

Przytyki i uszczypliwości przerzucano sobie jak piłki, niekiedy rozbrzmiewały salwy młodzieńczego śmiechu, kiedy indziej ktoś z kimś toczył złośliwą szermierkę słowną, to znów zalegało ogólne, ponurackie milczenie, we wszystkim razem uderzało zgranie, wszyscy byli ze sobą na „ty", każdy znał mniej lub więcej intymne sprawy każdego. — To są ludzie bez życia prywatnego, pomyślał i zdumiał się tym, tak przecież oczywistym odkryciem.

Tymczasem ciężarówka zjechała z szosy i zdążała bardzo złą, trochę lepszą od polnej drogą. „Polską" drogą. Gustaw, obznajomiony z terenem zrozumiał, że cel jazdy stanowi miasteczko Paleśnica. A droga była przecież zepsuta. Ciężarówka, napełniona ludźmi — to nie „Skoda" pogotowia: nie przejedzie. Należało uprzedzić kierowcę. Na przekór wewnętrznym oporom zrobił ruch, dał się poznać, wyjaśnił szoferowi położenie. Wśród zebranych powstał rejwach. Jak zwykle w takich wypadkach, opinia publiczna podzieliła się na dwa, namiętnie zwalczające się obozy. Z temperamentu i z nawyku aktorzy są ludźmi, lubiącymi dużo a niepotrzebnie mówić. Jedni byli zdania, że należy korzystać z doborowej okazji i natychmiast wracać do bazy. Drudzy stanęli na bardziej społecznym stanowisku, powodowani, być może, myślą poszukiwaczy przygody. Wśród głosów optujących za jazdą dominował głos Marty. Gniewało to ogromnie Gustawa, który odbierał to, jako akt przeciwko sobie wymierzonej agresji, ale nie mógł, ze zrozumiałych względów, zająć w tej dyskusji osobistego stanowiska. Dyskusję prowadzono zresztą dla czczej przyjemności dyskutowania, albowiem zdecydować musiał ostatecznie kierowca.

„Wbrew lepszemu spodziewaniu" Gustawa — kierowca postanowił jechać. Pojechali. Droga stawała się coraz gorsza, auto podskakiwało na wybojach, razem zaś z autem — aktorzy klnący i rozbawieni zarazem. Naturalnie zaraz podniosły się głosy, wiwatujące na cześć drogi, która powodowała nieoczekiwane, a cenne niekiedy zetknięcia. Nastrój miał w sobie coś wybitnie wycieczkowego. Częstowano się bułkami z kiełbasą i innymi smakołykami, wśród jadących krążyła butelka „z herbatą". Ktoś poczęstował Gustawa z upomnieniem „tylko jeden łyk!" Gustaw odmówił.

Przeprawa przez okolice przekopu stanowiła sama w sobie całą epopeję. Eleganccy panowie wysiedli z ciężarówki i pchali ją poprzez błotnisty ocean. Następnie musieli przenosić na rękach damy, co stało się powodem do zrozumiałej uciechy. Nikt jakoś nie przystąpił do „primadonny", do Marty, uważano widocznie — i nie bez słuszności — że powołany do tego jest jedynie mąż. Uczynił to w milczeniu i napozór chłodno, rozbawiony jednak wewnętrznie przekorą sytuacji. W rezultacie przeprawy zgubiono w błocku dwie pary kaloszy i jeden but. Morowo! Wściekłość Gustawa poczęła zabarwiać się wisielczym humorem. Ogólny nastrój udzielił się i jemu. Nasunęły mu się jakieś reminiscencje z wojennej, chojrackiej przeszłości.

Nim dojechali do Paleśnicy, mieli jeszcze defekt, trzasnęła opona. Spowodowało to dalsze opóźnienie i gruntowniejsze zmarznięcie jadących. A kiedy ciężarówka toczyła się już ostrożnie po wąskich uliczkach Paleśnicy, jakieś wyrostki, czatujące tu widać od dawna — zrywały się jak wróble niemal spod kół samochodu i gnały naprzód z kolosalnym wołaniem: już są! Jadą! Jadą! Paleśnica nie posiadała, rzecz jasna, osobnej sali teatralnej, przedstawienie miało odbyć się w kinie. Paleśniczanie z niemałym zdumieniem spoglądali na wytworne towarzystwo jak umorusane, rozczochrane ale pękające ze śmiechu — sunęło przez widownię za kulisy.

Gustaw, który nie bardzo wiedział, co ma ze sobą począć, udał się tam również. Marzył o jakimś przytulisku, przekonał się jednak niebawem, że garderoba będzie ostatnim miejscem, zasługującym na to miano. Była to izdebka pozbawiona nie tylko krzeseł, ale w ogóle jakichkolwiek sprzętów — i zimna. Poprzez niedomykające się drzwi na dwór wpadał i wypadał luty — jak chciał. Aktorzy dotykali ociekających wilgocią murów, domagając się kar niebieskich, ale przede wszystkim doczesnych — dla „kogoś", kto „musiał" przecież odpowiadać za podobny stan rzeczy. Sprowadzono kierownika od czegoś tam, zarzucano mu aspołeczność i nieustosunkowanie się, kazano mu mierzyć temperaturę lokalu, czynniono go odpowiedzialnym za stan niektórych urządzeń sanitarnych i poddawano egzaminowi ze znajomości przepisów. Że zaś czas nagli, więc pośród tego rozgardiaszu aktorzy zaczęli się już rozbierać, zderzając się, na skutek ciasnoty, niewymownymi częściami ciała.

Ponieważ taki stan rzeczy nie otwierał perspektyw na znośne spędzenie tych trzech lub czterech godzin, jakie dzieliły go od chwili wyjazdu — Gustaw zdecydował się wrócić na widownię. Była to jednak przysłowiowa zamiana siekierki na kijek. Panowała tu wprawdzie temperatura o parę stopni wyższa niż w garderobie, ale na tym też kończyły się dobre strony widowni. O tym, żeby usiąść — nie było mowy. Nie tylko wszystkie krzesła były zajęte, również i przejścia wypełniał tłum zbity, hałaśliwy i nieprzyjemnie pachnący. Na sali było duszno i — zdawałoby się — pełno, a mimo to, poprzez otwarte drzwi, wchodzili nieustannie nowi ludzie. Nie tylko przez drzwi. Także oknami, które ze względu na srogi zaduch pozostawiono otworem — wchodzili młodsi obywatele Paleśnicy.

Gustaw nie pomylił się mówiąc, że zwali się tu hołota ze szkoły powszechnej. Dzieciaki uwijały się wszędzie, szczelnie obsiadły proscenium, powdrapywały się na parapety, uczepiły gzymsów, poprzylepiały do ścian w jakichś akrobatycznych czy muszych pozycjach. Tylko na lampach ich brakowało. Pierwsze rzędy zajmował tłum stateczny, ogromnie uroczysty i na swój sposób — elitarny: ojcowie miasta i ich lepsze połowy w jakichś niewiarogodnych kapeluszach i boach i całe jarzące się od różnokolorowych brosz, klamer i zausznic — niczym choinki. Znać było, że spektakl stał się wydarzeniem dnia, że Paleśnica wydelegowała tu wszystko, co tylko miała najlepszego. Więc majestatyczne damy z córkami na wydaniu, więc lekceważących cały świat donżuanów, więc świadomych swego znaczenia urzędników. Całe to towarzystwo tworzyło odrębną i pełną zażyłości koterię, której nonszalancja i niedopowiedziane uśmieszki miały podkreślać zażyłość z teatrem i jego kulisami. Gustaw, mający się za jednego z wtajemniczonych w sprawy teatru poczuł szczególne rozdrażnienie na widok tych min i pretensjonalności. Z większą już sympatią spoglądał na ogromną większość zebranych, bynajmniej nie starających się ukryć, że zobaczą teatr po raz pierwszy w życiu, podekscytowanych, zaglądających za kurtynę, ciekawych każdego szczegółu, zadających wiele naiwnych pytań i udzielających sobie niemniej naiwnych odpowiedzi. Ktoś informował się, czy aktorzy są „wyuczeni", czy też będą „wymyślać" swoje role. Ktoś inny zdradzał niepokój, czy sztuka aby skończy się przed siódmą rano, bo nie zamierzał spóźnić się do pracy.

I naraz Gustaw zrozumiał, że stał się mimowolnym świadkiem zjawiska, które należałoby sfotografować, sfilmować, udokumentować, uwiecznić, gdyż wkrótce zniknie i będzie budzić uśmiech niedowierzania, jak konny tramwaj, welocyped, czy iluzjon: miasteczko, które w dwudziestym wieku i w centrum Europy nigdy nie oglądało teatru! Odkrycie to tak go zaciekawiło, że oddał się z pasją studiowaniu tej egzotycznej widowni, łowił jej odezwania, obserwował reakcje, notował grę fizjognomii.

A wtem — dostrzegł szczegół, który znowu zelektryzował go i nadał jego myślom całkiem odmienny bieg: wśród widzów rozpoznał swoją dzisiejszą pacjentkę, Małgosię Cieplik. Siedziała między rodzicami, opatulona w jakieś chusty i szale, sztywna w swoim ortopedycznym gorsecie, ale uśmiechnięta i zaróżowiona. Dreszcz oburzenia wstrząsnął lekarskim sercem Gustawa: — Oto była prowincja! Oto nieuświadomienie! Typowy przykład małpiej miłości rodziców! Człowiek się fatyguje, niedosypia, jeździ na drugi koniec powiatu i dla kogo to wszystko, na co? — Na nic! Jakaś smarkata po-pro-siła, ponudziła, popłakała i już matka spojrzała łzawo na ojca, ojciec pociągnął nosem, odwracając bezradnie głowę i — wystarczyło! Dziecko postawiło na swoim, podyktowało swoją wolę i naraziło się na śmierć. Warto w takich warunkach cokolwiek działać, warto perswadować, warto się wysilać — ech!

Ale on — nie daruje! Nie popuści! Pójdzie i rąbnie im parę słów prawdy. Niech usłyszą rodzice, niech usłyszą sąsiedzi, krewni, przyjaciele i kumoszki! Niech nie winią za parę tygodni doktora „który nie umiał poznać się na chorobie", „ubezpieczalni" i „dzisiejszych stosunków"! On już im pokaże! Zapamiętają go!

Nim zdołał jednak przedrzeć się do Cieplików — rozległ się dźwięk gongu, światła zgasły i kurtyna poszła w górę, wobec czego — musiał odłożyć reprymendę na antrakt. Tymczasem rozpoczęło się przedstawienie. Gustaw, stojący blisko sceny zobaczył, jak niesłychane wrażenie sprawia ono na widzach. Szczególnie na dzieciach. Te — omal nie powyłaziły ze skóry, omal nie weszły na scenę i nie poczęły ingerować w przebieg akcji. Nic to, że z pierwszych rzędów rozległy się surowe sykania, nic, że woźny co chwila musiał ściągać za pantalony lub uszy co natrętniejszego z małych entuzjastów teatru. Nie osłabiło to i nie było w stanie osłabić wrażenia prawdziwości, wrażenia, że Albin, Klara i reszta domowników pani Dobrójskiej naprawdę przyjechali z dziewiętnastowiecznego dworku, by ucieszyć małych Paleśniczan widokiem swoich przeżyć.

Ale nie tylko dzieciarnia reagowała w ten sposób na spektakl. Także dorośli brali w nim udział szeptami, komentarzami, niekiedy zaś — głośnym dopingowaniem akcji. To nie była wielkomiejska publiczność, odwiedzająca teatr trochę ze snobizmu, trochę z obowiązków, trochę z braku lepszego zajęcia. To była publiczność z prawdziwego zdarzenia, reagująca i żywa, śmiejąca się w wesołych momentach i poważna w poważnych, publiczność w stylu greckim, gotowa do entuzjazmu, gotowa nosić na rękach dobrego aktora, ale też wygwizdać lub nawet pobić — partacza. Publiczność, dla której w a r t o było grać.

Z tym większym więc niepokojem śledził grę Marty — w chwili obecnej — Klary. W zasadzie zależało mu zawsze na tym, żeby ją podziwiano, przyzwyczaił się jednak traktować jej występy na objazdach, jako coś mało ważnego. Cóż w końcu dla reputacji aktora znaczy jednorazowy występ w jakimś Krasnymstawie, Pipidówce, czy Paleśnicy... Tym razem jednak — zależało mu wyjątkowo na tym, żeby występ wypadł popisowo. Może dlatego, że od samego początku zauważył złą formę Klary, dosłyszał lapsusy, które normalnie nigdy jej się nie zdarzały. Może też zaczął już sympatyzować z paleśnicką widownią, życzyć jej dobrej zabawy i niesfuszerowanej rozrywki. A może rządziły nim racje egoistyczne, może przypuszczał, że niezadowolenie, niedosyt, rozgoryczenie żony — utrudni ich dalsze pożycie... Może pragnął osłodzić jej to pożegnanie ze sceną (Boże, co za wielkie słowo)! Tak czy owak — związał się z jej grą bardziej niż kiedykolwiek dotychczas, posyłał jej z widowni fluidy, k a z a ł jej dobrze grać (jako mąż — miał przecież do tego prawo). Każde jej potknięcie odbierał boleśnie, każde zagranie napawało go dumą. Klara zaś — wyraźnie borykała się z grą i własnymi nerwami, widoczny był jej wysiłek, żeby się opanować, nawiązać kontakt z widownią, zatriumfować na ostatek... Pierwsze jej kwestie nie rozśmieszyły nikogo, przekomarzanie z Albinem zostało zimno przyjęte. Gustaw ze zdwojonym wysiłkiem nadawał na falach sugestii swoje radio-telegramy optymizmu i werwy. Grali naprawdę we dwójkę — stwierdził to potem, spostrzegając, że jest cały spocony i wyczerpany nerwowo. Ale dopiął swego, zmusił Klarę do opanowania, ożywił jej grę, ożywił reakcję widowni i doprowadził do tego, że sala rozbrzmiała brawami.

Morowa sala! Porządna widownia! Mimowoli spojrzał na Małgosię Cieplik i stwierdził, że dziewczyna, choć nie uległa tak hałaśliwej wesołości — jest jakby przemieniona: policzki jej płonęły, oczy — pałały, cała drobna jej postać zdradzała nadzwyczajne podniecenie, znać było, że przeżywa wyjątkową emocję. I Gustaw w jednej chwili porzucił myśl uczynienia jej rodzicom wymówki, nie miał serca popsuć im i jej przyjemności — prawdopodobnie ostatniej, a równie możliwe, że pierwszej. To byłoby nieludzkie, tym bardziej, że zło się już stało, przy tym — nie można było mieć w końcu pewności, że jej to musi zaszkodzić, może właśnie będzie na odwrót, może ta niezwykła radość dobrze wpłynie na jej zdrowie, stanie się sui generis terapią bodźcową... Oczywiście, takie rozumowanie nie miało żadnego uzasadnienia w poglądach medycyny oficjalnej, ale w końcu — człowiek jest przecież istotą nieznaną i tyle dzieje się rzeczy, na które nauka nie umie dać odpowiedzi...

A gdyby nawet ten wieczór miał się okazać fatalny, zaszkodzić jej i skrócić o parę tygodni czy miesięcy jej bezbarwne życie — to czyż w kalkulacji uczucia bilans nie wypadnie dodatnio? Umierając — nie pomyśli przynajmniej, że nigdy, ani przez jedną godzinę nie była szczęśliwa. A to małe, malutkie szczęście — do którego przecież ma prawo — będzie zasługą dzisiejszego wieczoru, będzie zasługą... teatru.

Ale przecież i Marty. To ona dała dziecku i widowni tę radość, ona uparła się, żeby jechać, bez niej — przedstawienie nie mogłoby się odbyć. Te dzieci, ci prości ludzie, którzy nigdy nie oglądali teatru, cieszyliby się napróżno, przebyliby niepotrzebnie paskudną, błotnistą, „polską" drogę, siedzieliby tutaj długo, może kilka godzin — ludzie wiejscy z dawien dawna nawykli do czekania na inteligentów — potem zaczęliby się niepokoić, potem niecierpliwić, aż w końcu zjawiłby się zakłopotany kierownik widowni oznajmiając, że przedstawienie nie może się odbyć, ponieważ... aktorzy nie dopisali. Więc tłum powoli, z ociąganiem i słusznym sarkaniem na lekceważenie ich osób, na wiecznie te same i stale pozbawione pokrycia obiecywanki czegoś lepszego — zacząłby rozchodzić się do domów, rozgarniając nogami nieodmienne, „polskie" błoto... A wśród nich — wracałaby na rękach ojca — Małgosia Cieplik, która daremnie byłaby się cieszyła, daremnie czekała i marzła, i której nigdy już nie trafi się podobna okazja zobaczenia „prawdziwego teatru"...

To byłaby jego, Gustawa „zasługa". On to uczynił wszystko, co było w jego mocy, żeby przeszkodzić widowisku. On z wytrwałością i konsekwencją godnymi lepszej sprawy — utrudniał Marcie wykonywanie jej zawodu, przeszkadzał pełnić posłannictwo radości i śmiechu... I kto go do tego upoważnił?

K t o g o u p o w a ż n i ł p r z e s z k a d z a ć s z c z ę ś c i u M a ł g o s i i M a r t y ?

...więc skoro tylko znaleźli się w ciężarówce — Gustaw nachylił się do żony i szepnął:

— Nigdy jeszcze nie grałaś tak pięknie.. Powinnać jednak zmienić zdanie i zapisać się na ten kurs.

Marta spojrzała na niego zdziwiona... W tym momencie samochód podskoczył gwałtownie i usta ich się zderzyły.

Ale Gustaw oświadczył:

— Nic się nie przejmuj. Zaraz wjedziemy na lepszą drogę.

KAZIMIERZ STEFCZYK

KAMIEŃ PROBIERCZY I KAMIEŃ U NOGI

Picasso — instrumenty muzyczne

WIĘKSZOŚĆ dyskusji na tematy kulturalne w naszych czasopismach robi się wciąż jeszcze, niestety, „na siłę". Albo ktoś inny napisał, więc „wypada" poruszyć czym prędzej na łamach ten sam temat, żeby włączyć się do chóru — albo docierające do nas spóźnione echo dyskusji zakończonej już za granicą budzi z uspienia naszych wyborowych strzelców krytyki, którzy oddają dwa celne strzały, po czym następuje „długo, długo nic", a następnie „podsumowanie dyskusji", której nie było. Pewną inowację wprowadzono ostatnio dyskusją o muzyce tanecznej — ktoś jeden powiedział szereg przykrych epitetów pod adresem Polskiego Radia, ktoś inny go objechał, ktoś inny podciął konika nowym artykułem nie całkiem na temat i hajda — wio! — wsiedli na niego wszyscy, włączył się nawet Minkiewicz swoją balladą o sambie, a skończyło się w „Życiu Warszawy"... na piegach.

Temat, który poruszę, nie traktuje wprawdzie o piegach, lecz dotyczy za to tych aktualności, których nie trzeba wyszukiwać, lecz których nikt nie porusza. Tematy tego rodzaju dojrzewają do dyskusji bez sztucznego zaplamiania szczepionką „dewcpuszków". Chodzi mi mianowicie o sprawę szkolnictwa artystycznego. Obecnie, gdy zakończył się rok szkolny, dobrze byłoby zastanowić się nad niektórymi rzeczami.

*

IWAN Turgieniew w noweli pt. „Tatiana Borysowna i jej bratanek" poświęca całą stronicę na charakterystykę postaci pewnego „mecenasa sztuki", Pana Benewoleńskiego. Pozwolę sobie przytoczyć kilka wyjątków z tej noweli: „...Pan Bóg obdarzył go niezwykle dobrym sercem: łatwo płakał i wpadał w zachwyt, poza tym pałał bezinteresowną miłością do sztuki, i to naprawdę bezinteresowną, ponieważ pan Benewoleński, jeśli mamy powiedzieć prawdę, właśnie o sztuce nie miał najmniejszego pojęcia. Było to nawet dziwne, skąd, na mocy jakich tajemniczych praw, wzięła się w nim ta namiętność? Zdawałoby się, że jest to człowiek trzeźwy, przeciętny... zresztą u nas w Rosji dość dużo jest podobnych ludzi. Miłość do sztuki i do artystów nadaje im jakąś niewytłumaczoną, przesadną ckliwość; znajomość, rozmowa z nimi jest męcząca; zakute łby posmarowane miodem. Nie nazywają na przykład nigdy Rafaela — Rafaelem, Corregia — Corregiem; „boski Sanzio, niezrównany de Allegris", mówią z niezdrowym akcentem na „o". **Każdy domorosły, przeciętny i zmanierowany talent, z pretensjami do wielkości, nazywają geniuszem, a raczej „jeniuszem"...** Można ich obserwować na wystawach obrazów przed niektórymi dziełami pewnych rosyjskich malarzy... To cofają się o parę kroków z zadartą głową, to zbliżają się do obrazu; oczy ich pokrywa wilgotna mgiełka... „Tfu, mój ty Boże — przemawiają wreszcie załamującym się ze wzruszenia głosem — ileż w tym duszy, ile duszy!... niech go!... ile w to włożył serca, ogrom serca!... I jak to pomyślane — po mistrzowsku pomyślane!..." A jakie obrazy wiszą u nich w salonie. Jacy malarze bywają u nich wieczorem, piją herbatę, słuchają ich rozmów... Jacyż ich odwiedzają długowłosi wychowankowie muz z gorączkowo - pogardliwym uśmiechem. Jakież zielonkawo - blade panny piszczą u nich przy fortepianie..."

*

PANOWIE Benewoleńscy, których wyszydził Turgieniew, rodzili się nie tylko w carskiej Rosji — byli także i u nas, a nawet egzystują jeszcze dzisiaj, tylko pod nieco zmienioną postacią. Narobili oni wiele szkody. Jeśli zabierają głos w dyskusji o sztuce, nie znając się na niej, można jeszcze wybaczyć. Lecz gorzej, jeśli rozstrzygają o wyborze kariery artystycznej jakiegoś młodego człowieka, obdarzonego miernym talentem — gotują mu bowiem los podobny do losu Andriuszy ze wzmiankowanej noweli Turgieniewa (...W rzeczy samej okazało się, że zdolności starczało mu zaledwie na malowanie przeciętnych portrecików...").

Wspominam o tym nie bez powodu właśnie dziś, kiedy ustrój Polski Ludowej wydobył i wyzwolił olbrzymie rezerwy prawdziwych samorodnych talentów, kiedy przed każdym naprawdę zdolnym młodym człowiekiem, czującym w sobie powołanie do kroczenia po drodze sztuki, stoją otworem wszystkie uczelnie. Niebezpieczeństwo pomyłki w wyborze zawodu nie zmalało bowiem. Oprócz ludzi naprawdę utalentowanych zapisują się bowiem rokrocznie na uczelnie artystyczne jednostki nie czujące w sobie żadnego powołania do sztuki, jednostki, które wykoncypowały sobie, że najłatwiejszą drogą do studiów wyższych — to wpis do wyższej szkoły artystycznej. I istotnie, jedynymi uczelniami przyjmującymi bez wielkich trudności i ograniczeń zgłaszających się kandydatów, są szkoły artystyczne. „Nie możesz się, bracie, dostać na medycynę, to wal prosto do szkoły artystycznej — teatralnej, plastycznej czy muzycznej..." Przez pierwsze pół roku taki kandydat na „artystę" tuła się niemrawo wśród tłumu kolegów — siłą rzeczy jednak, chodząc na wykłady, wciąga się powoli w czysto rzemieślnicze arkana danej dziedziny sztuki. Na początek nie wymagają od niego wiele, więc po jakimś czasie wydaje mu się, że i on ma talent. Po roku więc rezygnuje z myśli o „przerzuceniu się" na inny, pierwotnie zamierzony dział studiów wyższych — i po trzech latach zostaje miernotą, „kamieniem u nogi" tych, których obowiązkiem jest go zatrudnić.

Jak więc widzimy, od czasu napisania przez Turgieniewa wzmiankowanej wyżej noweli zmieniło się tyle, że odpowiedzialność za wybór niewłaściwego zawodu przerzucona została z „panów Benewoleńskich" na barki komisji selekcyjnych, przyjmujących kandydatów do szkół artystycznych. Jeśli zważymy, że kształcenie młodzieży pokrywane jest dzisiaj z funduszów państwowych — odpowiedzialność komisji selekcyjnych staje się podwójna: wobec jednostki poddawanej egzaminowi i wobec społeczeństwa, które ma łożyć na kształcenie jej.

Sygnały dochodzące do nas z terenu w postaci konkretnych faktów wzgl. listów z różnych uczelni artystycznych wskazują na to, że nie wszędzie i nie zawsze członkowie komisji selekcyjnych zdają sobie sprawę z tej podwójnej odpowiedzialności.

*

PEWIEN odsetek listów przychodzących do redakcji — to listy młodych ludzi pragnących dopiero studiować, względnie studentów lub absolwentów różnych uczelni artystycznych. Ten szeroki wachlarz — od zamysłów, pytań i pragnień, poprzez zwierzenia pełne entuzjazmu, aż do wątpliwości i narzekań — mieści w sobie wiele istotnych zagadnień nurtujących dzisiejszą młodzież artystyczną. Każdy z młodych ludzi wnosi na uczelnię artystyczną niemogli tylko o nich marzyć. W pierwszej grupie znaleźć można było wielu bogatych synalków i „panienek z dobrego domu", którym rodzice „wdrażali" zamiłowanie do sztuki za pomocą przekonywającego argumentu: „to wypada". „Wypadało" więc, żeby panienka z posagiem, mająca wyjść za mąż, umiała grać na fortepianie przynajmniej „Modlitwę dziewicy" — więc panienka chodziła potulnie do konserwatorium, papa płacił za jej studia, kończyła uczelnię lub nie kończyła — lecz to nie było istotne. Dziś tego rodzaju motywy należą, prawie zupełnie, do przeszłości. Piszę „prawie zupełnie", bo wystarczy pójść na pierwszy lepszy egzamin wstępny do którejkolwiek szkoły artystycznej (a zwłaszcza do szkoły aktorskiej), aby natrafić na rozmówki godne uwiecznienia na scenie Teatru Satyryków. Szkoły teatralne pierwsze ocknęły się już, wprowadzając bardzo gęste „sito" przy egzaminach wstępnych. Natomiast sytuacja w szkolnictwie muzycznym wciąż jeszcze kryje w sobie wiele niebezpieczeństw zarówno dla naszej kultury muzycznej, jak i dla mniej uzdolnionych jednostek, najwidoczniej o karierze Paderewskiego — a czy widział kto Paderewskiego grającego na trąbce lub klarnecie? Oczywiście nie, nawet w zaciszu domowym. Wniosek z tego, że należy koniecznie wybrać fortepian. A skutek? Kompletny brak instrumentalistów, którzy — gdyby byli — mieliby obecnie „złote życie". To z jednej strony. A z drugiej — trudności w zatrudnieniu absolwentów klasy fortepianu. Jeśli chodzi o klasę śpiewu — trudności wynikają tam z innych przyczyn, o których wspomnę później.

*

SPRAWA wyboru kierunku studiów (instrumentu) przez obdarzonych talentem muzycznym młodych ludzi — to jedna strona medalu. Druga — to sprawa samego talentu. Talent — to wielkie słowo. Jasne, że nie wolno wypowiadać go „na słowo honoru" w zetknięciu z młodym człowiekiem wstępującym dopiero w progi uczelni, choćby nawet obdarzony był więcej niż przeciętnym słuchem muzycznym. Wszelkie przymykanie oczu, wszelki entuzjazm bezkrytyczny — który rodzi się czasem u członków komisji selekcyjnej z przyczyn czysto porównawczych na tle ogólnego słabego poziomu kandydatów — jest krzywdą dla obałamuconego kandydata, który nabiera niesłusznego przeświadczenia o swoim wielkim talencie.

Dotychczasowe doświadczenia z absolwentami szkół muzycznych wskazują niezbicie na fakt, że selekcja nowowstępujących kandydatów nie była na tyle ostra, aby wielu z nich ustrzec od pomyłki życiowej. Nadmierna w tej chwili podaż średniouzdolnionych pianistów - absolwentów szkół muzycznych jest tego najlepszym dowodem. A jednostronność w wyborze instrumentu prowadzi do tego, że dziewięć istniejących w tej chwili na terenie naszego kraju filharmonii i pięć orkiestr symfonicznych, jak również dwie nowopowstające od września br. orkiestry symfoniczne we Wrocławiu i Białymstoku rozbijają się za instrumentalistami, których nie ma.

Jeśli chodzi o śpiew, to przy przyjmowaniu kandydatów stawiać można diagnozy z 95-procentową pewnością. Sprawdziany talentu są tu bardziej uchwytne. Ale cóż z tego, kiedy zdolni śpiewacy uciekają ze szkół muzycznych jeszcze w trakcie studiów, angażując się gdzie popadnie. A ci co pozostają — to przeważnie ludzie, których siła woli, wytrwałość i ambicje stoją w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do ich uzdolnień i szans.

Również niezwykle ważne (i pozostające w ścisłym związku z żywiołowym rozwojem ruchu amatorskiego) zagadnienie kształcenia świetlicowych instruktorów muzycznych przedstawia się w tej chwili niewesoło, jeśli weźmie się pod rozwagę wiadomości przenikające z terenu.

*

PROBLEM absolwentów szkół muzycznych — nie podlegających, jak dotąd, ustawie o planowym zatrudnieniu — przysparza na pewno wiele kłopotów odpowiednim resortom Ministerstwa Kultury i Sztuki. Trudności jednak są do przezwyciężenia. Pierwszą jaskółką zmiany na lepsze jest zapowiedź zorganizowania na jesieni br. I ogólnopolskiego konkursu gry na instrumentach dętych. Celem tej imprezy jest zainteresowanie młodzieży tą dziedziną studiów muzycznych — co przyniesie niewątpliwie z czasem rozładowanie napiętej sytuacji na odcinku zatrudnienia. Przy podjęciu planowej, przemyślanej akcji i zlikwidowaniu resztek przypadkowości w rekrutacji młodzieży do szkół muzycznych, sytuacja polepszy się niewątpliwie. Jedynym kamieniem probierczym przy wpisie stanie się — talent, a ludzie, którzy go nie posiadają, przestaną być kamieniem u nogi społeczeństwa.

Raoul Dufy — koncert symfoniczny

O sytuacji panującej w szkolnictwie muzycznym średnim i wyższym można poinformować się najlepiej... w „Polskim Radio", w orkiestrach symfonicznych czy też świeżo organizowanych zespołach muzycznych. Dlaczego tam? Bo tam właśnie załamują ręce nad niemożnością skompletowania zespołów muzycznych na skutek braku instrumentalistów. W naszych szkołach muzycznych nie ma chętnych, którzy chcieliby się uczyć gry na harfie, oboju, klarnecie, perkusji, flecie, trąbce czy klawesynie. Każdy z wpisujących się marzy

PIOTR WANTULA

Przed V Konkursem Chopinowskim

TO było półtora roku temu. W grudniu. Łuk Nowego Światu rozjarzył się właśnie we wczesnym zimowym zmroku mleczną drogą swoich latarni, gdy skręciliśmy z Alei Jerozolimskich ku Krakowskiemu Przedmieściu.

Gyuri przystanął i zmrużył ogromne granatowe oczy:

— Schön! — powiedział.

I dodał coś po węgiersku, bo mu się cały zachwyt w tym jednym niemieckim słowie nie zmieścił. Musiał użyć sercu we własnym języku.

Poszliśmy wolno w stronę Bristolu, ciesząc się po drodze wystawami sklepów. A potem Gyuri pożegnał się — to był ostatni ich wieczór w Polsce — mówiąc:

— Ja wrócę tu znowu. Na pewno. Nie zapomnijcie mnie...

Co prawda, mówiąc to patrzył nie na mnie, tylko na Wandę, ale dziś, gdy piszę te słowa, leży przede mną szara koperta z węgierskim znaczkiem, a w szufladzie mam więcej takich kopert. W tej ostatniej, z datownikiem sprzed kilku dni, jest właśnie wspomnienie grudniowego wieczoru na Nowym Świecie i nadzieja na nowe wieczory „in Deiner wunderschönen Stadt" — „w twoim przepięknym mieście": Gyuri przyjeżdża do nas na V Międzynarodowy Konkurs im. Chopina.

Siedem miesięcy dzieli nas od tego wielkiego wydarzenia muzycznego, jakim staje się każdy konkurs chopinowski. Zgłoszenia uczestników przyjmowane będą do 17 października bieżącego roku. A więc, zdawałoby się, że jest jeszcze mnóstwo czasu i nikt oprócz organizatorów i kandydatów o konkursie nie myśli. A tymczasem...

Tymczasem do Sekretariatu Konkursu przychodzą różne listy. Obok zgłoszeń kandydatów, odpowiedzi wybitnych muzyków na zaproszenie do Jury, listów z prośbą o dodatkowe informacje, oprócz zapowiedzi przyjazdu obserwatorów i dziennikarzy z całego świata — przychodzą z zagranicy liczne zapytania: czy nie można by zorganizować zbiorowej wycieczki na Konkurs?

Ba, chętnie byśmy widzieli tych wszystkich miłych gości, którzy pragną posłuchać Chopina i zobaczyć nasz odbudowujący się kraj. Ale jest tu jeden szkopuł — sala przyszłej Filharmonii będzie mogła pomieścić nie więcej niż około tysiąca dwustu słuchaczy. A to bardzo niewiele, jeżeli chodzi o Konkurs Chopinowski... Wiele osób odejdzie od kas bez biletów, a z żalem i urazą w sercu. Więc naprawdę nie wiadomo, jak tu zrobić z tymi wycieczkami...

Listy świadczą w każdym razie o ogromnym zainteresowaniu, jakim co najmniej pół kulturalnego świata darzy artystyczne wydarzenia w Polsce, wychodząc im o siedem miesięcy naprzeciw. Świadczą o tym też i liczne wzmianki w pismach zagranicznych.

A u nas przygotowania idą na pełnych obrotach. To nie bagatela zorganizować tak olbrzymią imprezę międzynarodową. Konkurs, to nie tylko Filharmonia, jury, uczestnicy i fortepiany. Nie tylko kwatery i wyżywienie. Nie tylko tłumacze i opiekunowie grup zagranicznych gości. Nie tylko transport samochodowy.

To setki i tysiące malutkich kółek, drobnych spraw, które muszą organizatorom na czas „przyjść do głowy" i zostać należycie rozstrzygnięte. Konkurs, to również conocny dyżur lekarza w hotelu, to dobrze zaopatrzony i ze znającą języki obsługą bufet w pokoju artystów w Filharmonii, to ładnie wydrukowane zaproszenia na bankiet, to wycieczka do Żelazowej Woli...

Machina organizacyjno - administracyjna Konkursu toczy się też nie od dziś i zagarnia w swoje tryby coraz więcej pracowników. Tym razem zresztą możemy się już oprzeć na doświadczeniach z Konkursu Skrzypcowego im. Wieniawskiego, który był naszym dużym sukcesem nie tylko artystycznym, ale i organizacyjnym.

A jak z Filharmonią? Zdążą, czy nie zdążą? Wielu miłujących muzykę warszawiaków zachodzi na ulicę Jasną, zatroskanym wzrokiem obrzucając trudzących się tu ludzi i wyniki ich pracy. Ale ci są pewni swego — Filharmonia będzie na termin i kwita! Nie raz już przekonaliśmy się, co mogą nasi budowniczowie, więc odchodzimy pocieszeni — inna rzecz, że w następną niedzielę znów nas tu przygna niepokój i ciekawość, czy się aby coś posunęło naprzód..?

Jeśli chodzi o konkursową literaturę, to w tej chwili wydaje się nowy prospekt konkursowy w siedmiu językach i broszurę w pięciu językach. Broszura traktuje o konkursach chopinowskich w ogóle i zawiera ciekawe wypowiedzi słynnych naszych chopinistów, m. in. prof. Zbigniewa Drzewieckiego o stylu gry utworów Chopina. A że Polskie Wydawnictwo Muzyczne też nie próżnuje, więc możemy mieć nadzieję, że nasi goście wyjadą bogato zaopatrzeni w nowe wydawnictwa.

*

Konkurs tym razem będzie jawny. Bardzo słuszna decyzja. Jurorzy mają przecie nasze pełne zaufanie, a nastrój, jaki siłą rzeczy wytwarzał się przy tajności — sprzyjał atmosferze niepotrzebnego podniecenia i sensacyjek.

Nazwiska jurorów trzymane są jeszcze w tajemnicy. Za wcześnie! — powiadają ci, którzy wiedzą — jeszcze nie na wszystkie zaproszenia przyszły odpowiedzi, jeszcze to i owo może ulec zmianie. Jedno jest pewne — że będziemy gościli wielu najwybitniejszych pianistów z całego świata.

No i najbardziej obiecującą młodzież pianistyczną. Jak dotychczas, nadeszły już zgłoszenia ze Szwajcarii, Anglii, Iranu, Gwatemali i oczywiście z krajów demokracji ludowej. Więc mamy oboje z Wandą nadzieję, że Gyuri przyjedzie też...

Nasza ekipa pracuje pilnie. Rzecz prosta pracuje nie od dziś. Troskliwa selekcja wyłoniła z licznej grupy tych najmocniejszych. Czuwają nad nimi baczne uszy najlepszych pedagogów. Obozy, podczas których młodzi pianiści mają pomoc i rady kolektywu profesorów, koncerty w całym kraju dające otrzaskanie się z estradą i ograne programu konkursowego, specjalna troska państwa o zapewnienie uczestnikom Konkursu dobrych warunków materialnych przez czas przygotowywania się — wszystko to daje pewność, że ekipa nasza godnie zareprezentuje ojczyznę Chopina.

KSIĄŻKI; recenzje, omówienia

MARIAN MAŁOWIST. „STUDIA Z DZIEJÓW RZEMIOSŁA W OKRESIE KRYZYSU FEUDALIZMU W EUROPIE ZACHODNIEJ W XIV i XV WIEKU". POLSKA AKADEMIA NAUK — INSTYTUT HISTORII. WARSZAWA 1954. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE. STR. 488.

Jeszcze jedna poważna pozycja w powojennym dorobku historiografii polskiej. Prof. Marian Małowist, specjalista od dziejów gospodarczych Bałtyku w epoce jagiellońskiej, zainicjował przed paru laty zespołowe studia swych uczniów na Uniwersytecie Warszawskim nad problematyką rzemiosła i zalążków manufaktury w Polsce feudalnej. Wyniki tych prac zaczną się ukazywać w serii pod tytułem: „Badania nad historią rzemiosła i handlu". Sam prof. Małowist zapoczątkował tę serię dając dla niej tło w postaci paru studiów nad równoległym rozwojem rzemiosła na Zachodzie.

Omawiany tom składa się z trzech rozpraw złączonych wspólnym tematem, gdyż traktują one produkcję sukienniczą we Flandrii, w Anglii i w Holandii, ze specjalnym uwzględnieniem (zwłaszcza w stadium trzecim) sprawy ekspansji gospodarczej na wybrzeżach bałtyckich (m. in. konkurencja z Hanzą). Autor przeprowadził wyczerpującą dyskusję z przedstawicielami historiografii burżuazyjnej, którzy przeceniali na ogół upadek rzemiosła w XIV i XV w., wiążąc go głównie z momentami zewnętrznymi, jak nasilenie wojen feudalnych, spadek ludności spowodowany masowymi epidemiami, zmiana szlaków handlowych itd..

Prof. Małowist zwraca uwagę, że nie doceniano dotychczas znaczenia czynnika zachwiania wówczas równowagi między stosunkami produkcyjnymi a charakterem sił wytwórczych, wskazując, że pociągnęło to za sobą ogólny poważny kryzys ustroju feudalnego. Przy badaniach tych trzeba przede wszystkim uwzględniać przemiany, które zaszły w stosunkach wiejskich, gdyż one ostatecznym rezultacie, chociażby przez problem wolnych rąk roboczych i fluktuacje zdolności nabywczej chłopstwa, wpływają w sposób decydujący na losy rzemiosła.

Autor udowadnia, że kryzys dotknął przede wszystkim sukiennictwo we Flandrii, nastawione na produkowanie wyrobów luksusowych, których odbiorcami były jedynie górne sfery feudalne, przeżywające właśnie wtedy, zwłaszcza na Zachodzie, znaczne kurczenie się swych podstaw gospodarczych, co pociągało za sobą automatycznie zmniejszenie siły nabywczej. Jednocześnie jednak z tym występowało, zwłaszcza w Anglii i Holandii, znaczne zwiększenie się produkcji sukna gorszego i tańszego, umożliwione postępującą tam klasową dyferencjacją wsi.

Studia prof. Małowista uwzględniające szeroko aspekty klasowo - społeczne zagadnienia pozwalają znacznie lepiej zrozumieć i ocenić ważną i dla naszych dziejów problematykę rozwoju rzemiosła na Zachodzie. Dalekie są one jednak od wyczerpania nawet ograniczonego odcinka badań nad sukiennictwem krajów Europy północno-zachodniej, do którego ograniczył się autor. Rzuca się w oczy, że na bardzo wielu stronnicach prof. Małowist usprawiedliwia fragmentaryczne jedynie potraktowanie sprawy niemożnością dotarcia do materiału źródłowego, nawet już opublikowanego.

Sam autor może być tam wytłumaczony, ale czyż nie trzeba zapisać na ujemne konto naszych instytucji naukowych, że nie potrafią dostarczyć pracującym nakładowcom potrzebnych im wydawnictw? Wystarczy zacytować najbardziej jaskrawy przykład. W jednym z przypisów prof. Małowist zaznacza, że niezmiernie ważne dla jego opracowania dzieło uczonego radzieckiego Poliańskiego „Szkice społeczno-gospodarczej polityki cechów w miastach zachodniej Europy XIII — XV w." wydane w 1952 r., jak również nie mniej niezbędna mu rozprawa specjalisty czeskiego Graussa „Kryzys Feudalizmu w XIV w." ze stycznia 1953 r., trafiły do jego rąk dopiero po oddaniu książki do druku, a więc na początku 1954 r.

Jeżeli w stosunku do wydawnictw zachodnich można się jeszcze powoływać na trudności obiektywne, to przecież nie grają one roli jeżeli chodzi o książki z sąsiednich i zaprzyjaźnionych z nami krajów. W różnych dyskusjach historycznych wytyka się często naszym historykom niedostateczne zajmowanie się dziejami powszechnymi, ale właśnie dlatego trzeba to im uławić, umożliwiając dostęp do niezbędnej literatury przedmiotu.

S. Z.

KONRAD EBERHARDT

DRAMAT Z CZASÓW BURZY

OD prapremiery „Tragedii optymistycznej" Wsiewołoda Wiszniewskiego minęło równo 20 lat. Odbyła się ona bowiem w 1934 r. w moskiewskim Teatrze Kameralnym. W ciągu tych dwóch dziesiątków lat sztuka przebyła długą drogę na scenach europejskich. W 1936 r. oglądała ją Praga w awangardowym teatrze F. Buriana, w rok później oklaskiwali ją żołnierze rewolucyjnej Hiszpanii na scenie madryckiego teatru, w 1948 znalazła widzów w demokratycznym Berlinie, w dwa lata później wybredny Paryż uznał dzieło Wiszniewskiego za bardzo interesujące i oglądał je na scenie „Théâtre Indépendant". U nas „odważono" się na wystawienie „Optymistycznej" dopiero w tym roku, w teatrze „Wybrzeże" w Gdyni, którego kierownictwo artystyczne spoczywa w rękach Lidii Zamkow. Należy być wdzięcznym jaskółkom, lub może mewom, które wniosły tę sztukę do naszego repertuaru, czy oznacza to istotny zwrot w kierunku wielkiej dramaturgii światowej?

„Tragedia optymistyczna" Wiszniewskiego jest utworem dziwnym, ciekawym, zaskakującym Mówi o Rewolucji Październikowej, o czasach wielkiej burzy, ale nie wyrasta z nich bezpośrednio — jest echem odległym, chociaż dzięki temu może głębszym. Już przed nią powstał „Sztorm" Billa Biełocerkowskiego, „Lubow Jarowaja" Treniewa, „Przełom" Ławreniewa... Od tych sztuk, kamieni węgielnych rewolucyjnego teatru radzieckiego, dzieli utwór Wiszniewskiego wiele lat, a mimo to nie jest on dowodem wygasania tego nurtu, ale jego poetyckiego pogłębienia. W „Tragedii" Rewolucja nie wkracza na scenę bezpośrednio tak jak w tamtych sztukach, oddzielonych od niej zaledwie o kilka lat — tutaj jest ona już oddalonym obrazem, który ożywa na przeciąg trzech godzin przedstawienia i dzięki temu oddaleniu staje się dostatecznie plastycznym tworzywem w rękach artysty. Na dzieje sformowania I Morskiego Pułku patrzymy tutaj oczami dwóch marynarzy - narratorów, którzy niczym chór grecki pośredniczą między nami a sceną. Kim my dla nich jesteśmy — wyjaśniają sami: „Oto publiczność. Nasi potomkowie, nasza przyszłość, do której — pamiętasz — tęskniliśmy na okrętach..." Wiszniewski zachował konsekwentnie do końca sztuki charakter poetycki, rapsodyczny niejako, narzucony przez wprowadzenie. Dramat jego zachowuje konstrukcję wspomnienia—nie istnieje w nim ścisła chronologiczność, nie odgrywa w nim roli nasz zwykły czas. Na scenie przeplatają się sceny, które mogą następować po sobie bezpośrednio lub przedzielone innymi, niewidocznymi dla nas zdarzeniami. W całość łączą je słowa dwóch starszych bosmanów — komentatorów, tych, „którzy pamiętają..."

Lecz myliłby się ktoś sądząc, że owa „poetyckość" i „rapsodyczność" dramatu Wiszniewskiego o Rewolucji wyczerpują już problematykę artystyczną tego utworu. Jego znakomitość polega właśnie na tym, że Wiszniewski zawarł w nim rzetelną wiedzę o „czasach burzy", przez które sam przeszedł, pozostawiając tam lata zbyt wczesnej młodości. Czas największego wrzenia, gdy młoda Rewolucja chwieje się zagrożona wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Interwencja naciera zbrojnie — anarchia niewidocznie żre jak rdza szeregi komunistów. Anarchia, dziwny produkt uboczny rewolucji, jej karykaturalne odbicie, dążenie do zniszczenia dla zniszczenia, do mordowania dla mordowania...

Scena z III aktu „Tragedii optymistycznej" Wiszniewskiego w teatrze „Wybrzeże" w Gdyni

Jeden ze statków, na którym Wiszniewski umieścił akcję swej sztuki, jest jakby syntezą, przekrojem całej epoki. Rewolucja rozniecila na nim płomień buntu, który nie ujęty w ścisłe ramy szaleje na ślepo. Ludzie stali się zdezorientowaną gromadą miotaną sprzecznymi uczuciami i ideami. Walczą dla ogromnych przemian, których nie potrafią w pełni zrozumieć. Tylko znikoma grupa świadomych komunistów dźwigała w tych czasach odpowiedzialność za nową przyszłość ogromnego narodu ścierając się równocześnie z jawnymi i zamaskowanymi wrogami Rewolucji.

Prowodyr anarchistów działa na własną rękę, powiększając w ludziach chaos wewnętrzny i bałagan ludzkimi rękami, ludzie w niej nie zawodzą. Ludzie w niej potrafią być wierni sobie i sprawie, za którą walczą. Aleksy pozostanie wierny Komisarzowi, w którym odnajdzie wreszcie swego wodza. Mały Fin Wajnonen zginie na straży swojej placówki. Oficer Bering, któremu Komisarz bezgranicznie zaufa, oddając kierownictwo całej akcji — nie zawiedzie. I jeżeli w zakończeniu sztuki kobieta-Komisarz ginie, to dlatego, że i ona nie zawiodła — była na miarę ludzi, których sama obudziła.

„Tragedia optymistyczna" posiada tę cechę, którą mają dzieła opierające się z powodzeniem niszczącemu nurtowi czasu: wyrażając problematykę określonego odcinka historycznego, mówi równocześnie o sprawach wszechludzkich. Gdy patrzyłem na „Tragedię" — przyszła mi na myśl sztuka Kruczkowskiego „Juliusz i Ethel". Bohaterzy tamtej tragedii byli podobnie zarówno konkretnymi ludźmi, zamordowanymi przez określony system w określonym czasie, jak również „tylko" ludźmi — mimo przemocy i więzienia—„tak wolnymi, jak tylko człowiek może być wolny". Konflikt między Komisarzem a Prowodyrem, świetnie zarysowany, typowy historycznie, jest również symbolem starcia się dwóch koncepcji życia. Komisarz wie, że nie wytrzyma próby czasu ład między ludźmi osiągnięty siłą i strachem i dlatego ładu tego szuka w samych ludziach, odnajdując w nich zagubione poczucie dobra i sprawiedliwości. Prowodyr zna tylko jedną drogę: nie ufać nikomu i zabijać. Do najciekawszych scen, charakterystycznych dla moralnego oblicza dramatu, należy przyprowadzenie przed oblicze Prowodyra dwóch jeńców z obozu niemieckiego, którzy na pytanie anarchistów: „kim jesteście?" odpowiadają: „jesteśmy ludźmi". Tylko tyle. I oni giną również. Bo ufać człowiekowi, według anarchistycznego „programu", nie wolno...

Przedstawienie w teatrze „Wybrzeże" wzbudziło we mnie sprzeczne refleksje. Przede wszystkim uznać trzeba reżyserię i inscenizację Lidii Zamkow za osiągnięcie dużej miary. Również strona scenograficzna została bardzo ciekawie rozwiązana przez słuchaczy ASP z Krakowa: Lilianę Jankowską i Antoniego Tośta. Dekoracje były wspaniale zharmonizowane z rodzajem i nastrojem sztuki, oszczędne, skrótowe, ekspresywne... Niestety, tzw. strona aktorska nie dopisała w równej mierze. Kilka sylwetek pozostanie w pamięci. Leszek Herdegen wydobył wiele z postaci wahającego się marynarza Aleksego, w którym zwycięzają w końcu dodatnie elementy. Tadeusz Gwiazdowski w roli Prowodyra budził właściwą grozę i odrazę. Ale najważniejsza postać, kobieta - Komisarz, nie utrafiła we właściwy ton. Rozumiem doskonale słuszną intencję reżysera, który oddając tę rolę subtelnej artystce lirycznej Annie Gołębiowskiej, wcale interesującej w „Norze" Ibsena, chciał odejść od nieznośnego szablonu „kobiet rewolucyjnych" czy „wojennych" o potężnej sylwetce, z rewolwerem za pasem, przemawiających grubym głosem. Istotnie siła oddziaływania na ludzi Komisarza u Wiszniewskiego nie kryje się w cechach zewnętrznych, lecz we właściwościach duchowych dających się odczytać za pośrednictwem wzroku, gestów, zachowania się, wypowiadanych słów. Sam autor naszkicował tę postać bardzo swobodnie pozostawiając jej konkretyzację wyczuciu aktorskiemu. W jednym tylko miejscu Wiszniewski mówi: „Kobieta-Komisarz zamyśliła się nad czymś. Wreszcie postanowiła. W ogóle więcej obserwuje i myśli, aniżeli mówi, dlatego, że wiele ma do zrobienia". Rola Komisarza ma już swoją tradycję w teatrze. W Moskwie w 1934 r. kreowała ją świetna tragiczka Alisa Koonen, operując w dużej mierze przemilczeniem, sugestywnością gry, każde jej pojawienie się na scenie działało podobno elektryzująco na widownię. Prasa francuska oceniała bardzo przychylnie grę Geneviève Bray w „Théâtre Indépendant"... Anna Gołębiowska niestety nie udźwignęła tej roli. Była sympatyczna, lecz w niektórych momentach naiwna, za mało „wewnętrzna". Patrząc na nią nie wierzyło się, że ta miła dziewczyna mogła jedynie swoją „sympatycznością" utrzymać cały oddział rozbestwionych marynarzy.

Na premierze przedstawienie szło nieco opornie, ale wydaje mi się, że po prostu aktorzy jeszcze nie oswoili się ze specyficznym klimatem sztuki. Mimo tych usterek — ta premiera niewątpliwie utrzymuje dobre tradycje teatru „Wybrzeże" i należy gratulować kierownictwu wyboru sztuki, jednej z najpiękniejszych, jakie poświęcono ludziom morza... Na sali w dniu pierwszego przedstawienia marynarze stanowili większość i reagowali bardzo żywo na akcję sztuki. Gdy po wyjściu z teatru ujrzałem w mroku przed budynkiem granatową kolumnę z białymi czapkami i bliski szum Bałtyku, wydało mi się, że jeszcze się znajduję w kręgu dramatu Wiszniewskiego.

LIST do CZYTELNIKÓW

TROCHĘ więcej niż rok temu czytelnicy nasi mieli sposobność zauważyć debiut literacki Mateusza Żurawca. Wkrótce po „Liście do Kardynała Spellmana" drukowaliśmy „Czarny śpiew", a później — trzy fragmenty poematu, który miał użyczyć swego tytułu książce Żurawca wydanej przez PAX.

„Wiec w środku człowieka" spotkał się — wiemy o tym — z bardzo różnymi ocenami. Zdarzały się głosy nader pochlebne, nie brakło uwag świadczących o całkowitej dezaprobacie, lecz — co najważniejsze, gdyż potwierdza nieprzeciętność wystąpienia Żurawca — wśród opinii, które do nas dotarły, nie było grzecznościowych formułek towarzyszących zazwyczaj utworom miernym, nie angażującym czytelnika emocjonalnie. — Drukowaliśmy jedną tylko recenzję tomiku Żurawca, recenzję — tak się nam zdawało — prowokującą do dyskusji; wbrew oczekiwaniom dyskusja nie została podjęta na piśmie. Być może, onieśmielił niektórych fakt, że krytyk, choć nie skąpiąc zastrzeżeń — uznał „Wiec" za jedną z najbardziej godnych uwagi książek poetyckich okresu powojennego, zawarte zaś w nim poematy — za wielki eksperyment.

Rozważania swoje zakończył recenzent stwierdzeniem: *„natus est poeta"*. Czytelnicy naszego tygodnika przypominają sobie zapewne, że w tym samym numerze (10/54) a nawet na tej samej kolumnie rozpoczęliśmy druk opowiadania Żurawca „Jack Kerton nie wraca do bazy". Poeta zadebiutował jako prozaik. Niemal przez cztery miesiące pojawiał się w „Dziś i Jutro" odcinek; ostatni — w numerze 26/54. — Możemy więc porozmawiać o nowym eksperymencie Mateusza Żurawca.

Rozmowa taka przyda się autorowi, gdyż „Jack Kerton" jest pierwszym z trzech zamierzonych opowiadań Żurawca; mają się one łączyć problemowo (nie tematycznie!) i wspólnie stanowić tom pt. „Cierpkie winogrona". Powinna też zainteresować odbiorców naszego pisma, którzy — jak przekonaliśmy się podczas niedawnego konkursu literackiego — często sami próbują sił w sztuce pisarskiej lub przynajmniej — o czym świadczą listy — chętnie widzieliby częstsze publikowanie w „Dziś i Jutro" utworów literackich. Decyzja drukowania większej całości w formie odcinków była małym... eksperymentem i ze strony redakcji. O jego powodzeniu lub niepowodzeniu decydować będzie dyskusja na temat opowiadania Żurawca.

Każdy czytelnik jest po trosze krytykiem literackim, każdy przecież ma coś do powiedzenia na temat swojej lektury — choćby tyle: czy rzecz się podobała, czy nie i dlaczego. Bywa, że najbardziej nawet prymitywne, „niefachowe" wypowiedzi zawierają dużo cennych uwag i wcale nie zawsze ustępują temu, co mają do napisania „zawodowi" recenzenci. — Nie chcąc ani trochę uszczuplać tego, co jest (a jest chyba nie mało?) do powiedzenia o utworze Żurawca — nie my tę rozmowę z czytelnikami rozpoczniemy, lecz tylko poprzestajemy na zaproszeniu wszystkich mających na to ochotę do zbierania głosu i oczekujemy — tak to nazwijmy — „recenzji z terenu".

Listy prosimy wysyłać pod adresem działu literackiego naszej redakcji. Wypowiedzi będziemy się starali drukować. Aby zaś postulatowi rozmowy stało się zadość — odpowiemy wszystkim uczestnikom w artykule podsumowującym dyskusję.

REDAKCJA

KSIĄŻKA DZIESIĘCIOLECIA

(dokończenie ze str. 1)

mułki, samokrytyki, która nie przeszkadza mu zamieniać pisma w „stojącą sadzawkę". Łękot to człowiek nijaki, bez światopoglądu, bez przekonań, to człowiek skazany na nieuchronną klęskę, która też przychodzi. Tragiczny również — lecz w jakże odmienny sposób! — jest Morawiecki; łamiąc się ze sobą i ze swym otoczeniem, mozolnie zdobywa właściwe rozeznanie w zawiłych sprawach tego świata, powoli uczy się, jak oddzielić dobro od zła, które w życiu tak trudno nieraz rozpoznać. Ale za naukę trzeba płacić; zło boli najbardziej, gdy dotyka osobiście — i Morawieckiemu los nie skąpi przykrych, bolesnych doświadczeń. Jest jakimś wielkim, a jednocześnie bardzo prawdziwym życiowo paradoksem, że czystość moralna i szczerość przekonań człowieka „o wielkim sercu i krótkim wzroku" utrudnia mu zdobycie zaufania, sprowadza nań szereg przykrości. Morawiecki aprobuje nowy porządek społeczny, daje swój twórczy wkład w dzieło rewolucji, wikłając się przy tym wśród nieszczęść osobistych, wśród zwątpień i błędów, za które życie nie głaszcze go po głowie. Nieumiejętność rozpoznania wroga omal nie kończy się dla Morawieckiego tragicznie, stawia go w sytuacji tak trudnej, że przez chwilę przebiega mu nawet myśl, czy wojna nie wybawiłaby go od tych wszystkich kłopotów. Ale tylko przez chwilę; Morawiecki szybko ją odrzuci i więcej nie wróci już do niej. Aresztowanie Działyńca skłania Morawieckiego do przemyślenia własnej postawy, nie zdecyduje się on jednak na to, by wyjaśnić na zewnątrz narosłe wokół siebie nieporozumienia. Chociaż zdaje sobie sprawę, że rozmowa z dyrektorem Jaroszem oszczędziłaby mu wielu przykrości i usunęłaby niejedną przeszkodę, nie podejmie jej i to jest niezwykle prawdziwe, uzasadnione psychicznie; Morawiecki pozostanie sam i w sobie będzie się przełamywał, nawet wtedy, gdy słuchając sprawozdania z procesu Działyńca przeżyje wielki wstrząs. Otóż w tym sprawozdaniu są dwa momenty, które szczególnie dotykają Morawieckiego i które pieczętują niejako jego przemyślenia, przy czym jeden z nich jest tu potrzebny, drugi — nie. Gdy Morawiecki słyszy w zeznaniach swego dawnego kolegi surową ocenę środowiska nauczycielskiego, w którym obracał się przed wojną, ocenę — „były to jednostki bezideowe mimo radykalnej frazeologii" — która i jego obejmuje — to „siedzi" doskonale w książce. Ale gdy dowiaduje się, że Działyniec, dawny kolega, człowiek, którego do ostatka bronił — jest denuncjatorem jego narzeczonej — to już jest zbyteczne i trąci upraszczającym naciąganiem.

Krytyka ukuła już mylny — moim zdaniem — pewnik, że „Obywatele" to powieść bez bohaterów, że właściwie wszyscy są równie ważni. Oczywiście, kiedy przez powieść biegną trzy odrębne wątki, trudno mówić o jednym bohaterze. Ja dostrzegam ich czterech: Morawieckiego, Kuźnara, Czyża i Łękota; jedynie oni obdarzeni są pełnym bogactwem życia psychicznego, oni dźwigają niemal cały ciężar problematyki; pozostali pojawiają się rzadziej, są charakteryzowani wyraziście, lecz jednokierunkowo, pełnią rolę pomocniczą w ukazaniu postaci centralnych. Spójrzmy dla przykładu na partnerów Morawieckiego: Działyńca i Jarosza, mających w wątku szkolnym obok niego rolę największą, lecz w porównaniu z nim niewspółmiernie małą. Działyniec pozostaje w półcieniu, z którego wychyla się bodaj raz jeden, fragmentarycznie zresztą, na posiedzeniu rady pedagogicznej; poza tym powraca już tylko w relacji Morawieckiego i w sprawozdaniu radiowym — w obu wypadkach ważny jest nie sam dla siebie, lecz z uwagi na Morawieckiego. Podobnie Jarosz jest raczej słabo zindywidualizowany, dziesięciu takich wykroiłoby się z Morawieckiego, ale ważne jest stanowisko polityczne, jakie reprezentuje, ważne znowu przez wzgląd na postać Morawieckiego, postać, która pozostaje w pamięci po przeczytaniu książki i która — obok Szczęsnego Bidy z „Pamiątki z Celulozy" — należy do najmocniejszych, jakie stworzyła literatura współczesna. Wątek szkolny płynie dwoma łożyskami: wśród nauczycieli i wśród młodzieży, ale o ile pierwsze nadaje mu głównie dzięki postaci Morawieckiego — pełnokonfliktowy wymiar, o tyle młodzież potraktowana jest zewnętrznie, w tych chłopcach nic się właściwie nie dzieje, myślą oni poprawnością wyczytanych frazesów i nie robią nic z tego, co jest udziałem dorosłych, nie mylą się, nie błądzą, nie łamią się z koniecznością dokonania wyboru; od początku wszystko jest dla nich oczywiste, od początku wiedzą, jak należy postąpić, tylko na przeszkodzie staje im niedołęstwo nauczycieli — i miał rację ten, kto powiedział, że ci młodzi ludzie mają mentalność stetryczałych staruszków. O ileż młodszy od nich jest stary Kuźnar, młodszy w swych marzeniach, ambicjach, w gorącym, intensywnym przeżywaniu obchodzących go spraw. Taki Święcki jest wręcz nieznośny, Święcki, któremu największą satysfakcję sprawia zamknięcie człowieka w pseudoprecyzyjnej formule politycznej, redukcja bogactwa ludzkiego życia do takiej właśnie formuły. Gdyby Święcki był pisarzem, tworzyłby chyba klasyczne powieści schematyczne. Gdy Morawiecki przeżywa ciężkie chwile po śmierci żony i aresztowaniu Działyńca, chłopcy z Mokotowskiej piszą do niego list przyjazny w zamierzeniach, lecz nieznośny przez swój pouczający ton, list, który jest, mówiąc delikatnie, wielkim nietaktem. Przy pozorach dojrzałości młodzieńcy ci życia zupełnie nie znają, widząc je w jakimś wykoszlawionym kształcie.

Wspomniałem już o tym, że bohaterowie Brandysa silnie na ogół i bardzo osobiście przeżywają wszystkie dotykające ich wielkie i małe sprawy, że nie ma tu jakiegoś wyraźnego podziału na sprawy prywatne i pozaprywatne, że to, co się dzieje w człowieku, stanowi poplątaną, pełną sprzeczności jedność. I tu podkreślić trzeba niezwykle silną współzależność różnych sfer przeżyć, które przenikają się i wzajemnie komplikują. Gdy Paweł Czyż, początkujący dziennikarz, przybywa do Warszawy, jego myśli wypełniają ambitne marzenia, żeby być kimś, żeby zadziwić sobą świat, i w tym kierunku pchnąć chce wszystkie swoje wysiłki, to stanowi jego główny cel. Ale nie na długo, bo oto zjawia się moment, którego w swych planach nie przewidział: miłość, przybywają nowe doznania i dążenia, które z jednej strony dopingują go do realizowania młodzieńczych snów o potędze, z drugiej — przemieniają je, ograniczają ich wyłączność. Tak jest na wstępie książki, później sprawy te zawęźlają się coraz bardziej, doprowadzając do licznych spięć zarówno w pracy redakcyjnej Pawła, jak i w jego przeżyciach uczuciowych, zbliżając go, to znów oddalając od Agnieszki. W takim ustawieniu wyraża się pogłębiona wiedza o człowieku, o bogactwie jego procesów duchowych, które nie przebiegają przecież w izolacji lecz oddziaływują na siebie, natężają się lub osłabiają; wyraża się tu duża przenikliwość pisarza, mądra troska o psychologiczne udokumentowanie ludzkich czynów, myśli, uczuć. Brandys sięga do korzeni postępków swych postaci, splata je ściśle — choć bynajmniej nie na zasadzie prostego wynikania — z ich przeróżnymi doznaniami, z sytuacją, z nastrojem. Działanie człowieka jest wypadkową różnych sił, nie zawsze dających się przewidzieć czy racjonalnie uporządkować, i nierzadko spotykamy się w „Obywatelach" z tym, że ta czy inna postać postępuje nie tak, jakby nakazywał rozsądek; bo też ludzie ci najczęściej nie robią niczego beznamiętnie, na zimno, ale pełni są sprzecznych uczuć, sprzecznych racji. I Morawiecki, i Jarosz pragną ze sobą porozmawiać, ale do rozmowy między nimi nie dochodzi właśnie z powodu nie najważniejszych, ale uzasadnionych psychologicznie, ludzkich oporów ich obu.

I wydaje mi się, że jest przejawem jakiejś delikatności pisarskiej, subtelnej lojalności autora wobec swych postaci, że pokazane w „Obywatelach" sprawy nie są doprowadzone do końca, nie są zamknięte, ale że wybiegają poza fabułę powieści; następuje w niej przesilenie postawionych konfliktów i losów ludzkich, przechodzą one przez punkt kulminacyjny, pozostając jednak niedopełnione, niewyjaśnione ostatecznie. Ich dalszy ciąg znajdziemy w nas samych, we własnym i otaczającym nas życiu, które uwielokrotnia dojrzałą prawdę o naszych czasach, zawartą w powieści Brandysa.

Sławomir Blaut

C V I T A S E M M A U S

* PAX *

NOWOŚĆ NOWOŚĆ
ALAN PATON
PŁACZ UKOCHANY KRAJU
tł. Jerzy Gawroński
str. 288 zł 25.—

NOWOŚĆ NOWOŚĆ
WANDA CHYLICKA
UCIECZKA I POWRÓT
cena zł 15.—

WZNOWIENIE

JAN DOBRACZYNSKI
JEZUS CHRYSTUS I JEGO APOSTOŁOWIE
zł 15.—

NOWOŚĆ NOWOŚĆ
Ks. EUGENIUSZ DĄBROWSKI
GŁOSY I ODKRYCIA BIBLIJNE
zł 25.—

NOWOŚĆ NOWOŚĆ
A. J. CRONIN
GWIAZDY PATRZĄ NA NAS
trzy tomy
zł 30.—

Jerzy Liebert
POEZJE ZEBRANE
cena zł 25.—

Th. Deman O. P.
CHRYSTUS PAN I SOKRATES
cena zł 30.—

Św. Augustyn
DIALOGI FILOZOFICZNE
trzy tomy po zł 25 —

Etienne Gilson
WPROWADZENIE DO NAUKI ŚW. AUGUSTYNA
oprawa kartonowa zł 45.—
oprawa płócienna zł 81.—

Św. Hieronim
LISTY
Przekład ks. J. Czuja
trzy tomy po zł 34.—

KS. MIECZYSŁAW ŻYWCZYŃSKI
KOŚCIÓŁ A REWOLUCJA FRANCUSKA
cena zł 8.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „Pax" Warszawa, Mokotowska 43 za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO Warszawa nr 18515/114. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3.— na koszt przesyłki.

Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu".

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wielkodrukowe RSW „Prasa" W wa, Marszałkowska 3/5. 5-B-150078 Zam. Nr 1495

ANDRZEJ ODOLAŃSKI

Z filmem czechosłowackim nienajlepiej...

Scena z filmu „Porwanie"

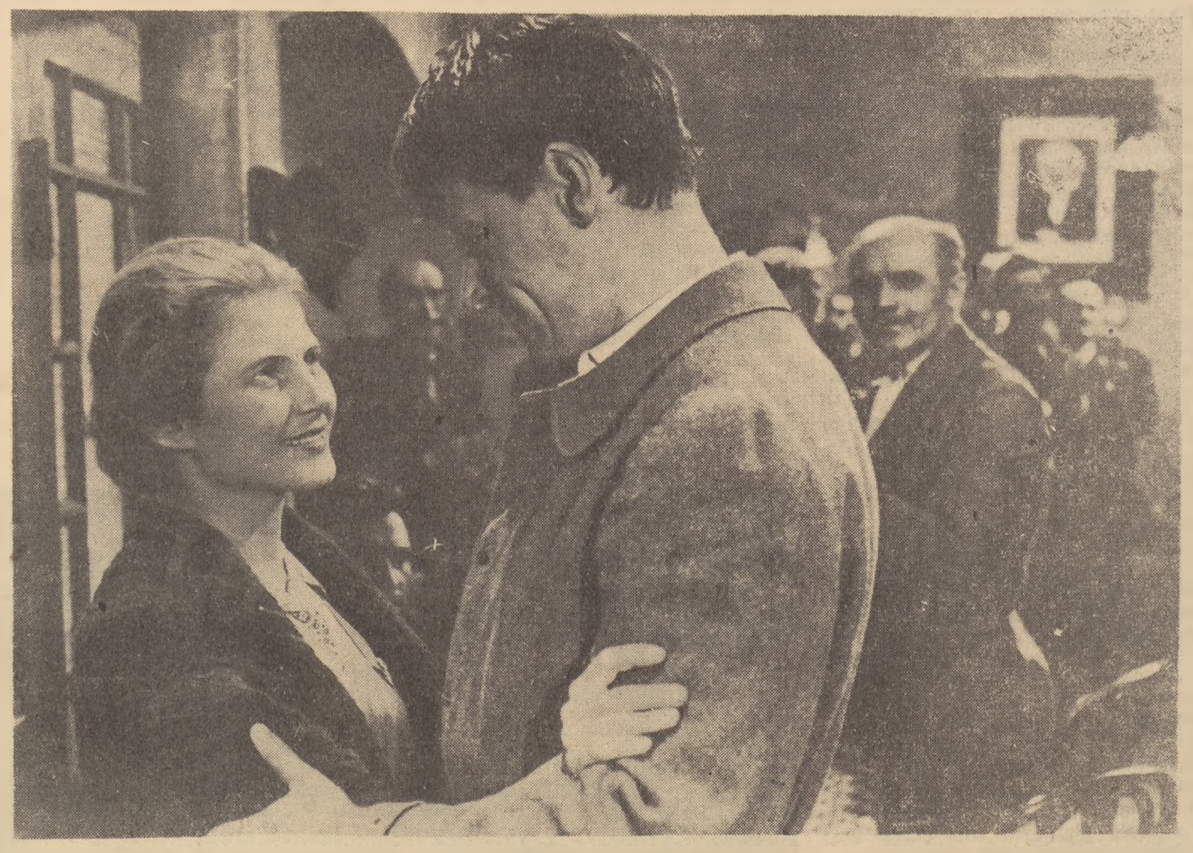

Scena z filmu „Anna Proletariuszka"

ZACZNĘ od stwierdzenia, że rozpowszechnianie złamało w tym roku tradycję: doroczny festiwal filmu czechosłowackiego nie odbył się na wiosnę. Ale nic w tym złego, bo jeżeliby wyświetlane w ciągu ostatnich tygodni cztery nowe filmy czechosłowackie („Anna proletariuszka", „Porwanie", „Kobieta dotrzymuje słowa" i „Wczasy z Aniołem") miały tworzyć właśnie festiwalowy zestaw — byłoby to trochę może żenujące dla kinematografii, która dysponuje jedną z najlepszych w Europie wytwórni (zdolna do rocznej produkcji 40 tytułów), sztabem doświadczonych pracowników twórczych i technicznych i niewątpliwie wartościowymi tradycjami przeszłości.

Czy wyświetlane obecnie filmy czechosłowackie dają jakąś ogólną panoramę bratniej kinematografii, czy pozwalają na ukształtowanie opinii?

Niewątpliwie tak — chociaż to tak brzmi z pozoru paradoksalnie, jeśli się weźmie pod uwagę, że pokazywane tytuły stanowią jedną trzecią rocznej produkcji czechosłowackiej; pomimo bowiem ogromnych możliwości, jak to już wyżej zaznaczyłem, w ciągu ostatnich trzech lat Czechosłowacy realizują przeciętnie 10-12 tytułów na rok. Ta ogromna dysproporcja między technicznymi możliwościami a praktyczną wydajnością wynika z braku pełnowartościowych scenariuszy. Od czasu rezolucji Komitetu Centralnego KPC w sprawie twórczości filmowej (1950) kinematografia czechosłowacka przechodzi poważne przeobrażenia ideologiczne, artystyczne i organizacyjne. Rozpoczęto przede wszystkim walkę z apolitycznością i uleganiem naciskowi mieszczańskiej widowni, które poważnie obciążyły produkcję pierwszych lat powojennych. W praktyce oznaczało to niedopuszczanie do realizacji scenariuszy skażonych tymi „grzechami". Ponieważ zaś szybkie uzyskanie pełnowartościowego pod względem politycznym materiału było z oczywistych względów niemożliwe — ograniczono produkcję ilościowo. Z impasu tego bratnia kinematografia nie wybrnęła zresztą do dziś, o czym świadczy produkcja roku 1953 — z której najlepszymi zresztą pozycjami są wyświetlane u nas obecnie tytuły — i stąd pryska pozorny paradoks uogólnienia.

Bez wątpienia godna podziwu jest pasja filmowców czechosłowackich w próbie przenoszenia aktualnej problematyki dnia na ekran. Wprawdzie schematyzm święci wśród większości tych tytułów swoje wielkie triumfy — ale nie można obojętnie przejść obok faktu, że nie mija rok od wypłynięcia jakiegoś ważnego aktualnego tematu politycznego, gospodarczego czy kulturalnego — a już Barrandów — miasteczko filmowe — opuszcza film poświęcony temu zagadnieniu. I są to filmy różnorodne pod względem rodzajowym: dramaty psychologiczne, komedie, filmy sensacyjne... Tak ma się sprawa z „Porwaniem", którego akcja osnuta jest na tle uprowadzenia czechosłowackiego samolotu pasażerskiego przez imperialistycznych dywersantów, tak jest z zagadnieniem pełnowartościowości pracy zawodowej kobiet w przemyśle w filmie „Kobieta dotrzymuje słowa", czy wreszcie z nową problematyką społeczną wczasów pracowniczych („Wczasy z Aniołem"), tak jest z nie wyświetlanymi u nas filmami o życiu górników, flisaków, młodzieży robotniczej.

Ten nie obcy i naszej twórczości filmowej niedowład ideowo-artystyczny oryginalnych scenariuszy filmowcy czechosłowaccy starają się wyrównać adaptacjami klasyków literatury, zarówno współczesnej, jak i ubiegłych stuleci: Jirasek, Olbracht, Czapek, Szramek, Rzezacz. Toteż gdy dodamy do tych pozycji filmy biograficzne i historyczne, przeszłość dominować będzie nad współczesnością. Trzeba od razu zastrzec, że ucieczka w przeszłość nie ma w sobie nic z braku zdecydowanej postawy politycznej. Tematyka historyczna ma wyraźne genealogiczne powiązania ze sprawami dnia dzisiejszego, mówi o ideach, „za które walczył lud w przeszłości, które dziś realizuje i które jutro prowadzić go będą do lepszej przyszłości" (z rezolucji KC KPC). Inna sprawa, że te słuszne koncepcje często tracą siłę argumentacji wskutek uparcie występującej „maniery", polegającej na niesłychanie drobiazgowym odtwarzaniu kolorytu epoki, wymuskiwaniu szczegółów i drobiazgów jak w obrazach Gustawa Moreau, co prowadzi w konsekwencji do rozładowania napięcia dramaturgicznego („Z cesarsko-królewskich czasów opowiadań kilka", „Miesiąc nad rzeką", „Tajemnica krwi", „Młode lata").

Jeżeli chodzi o problematykę historyczną w twórczości ostatnich lat, to niewątpliwie najlepsze rezultaty osiągnięto w filmie poświęconym rewolucyjnej przeszłości ruchu robotniczego. Zwłaszcza takie pozycje, jak „Przyjdą nowi bojownicy" i „Zahartowani", mimo swych, głównie scenariuszowych, błędów, wnosiły wiele twórczej śmiałości i świadczyły o dużym wzroście ideowo - artystycznym kinematografii. Ale od roku 1950 Czechosłowacy nie uczynili na tym polu postępu i ich ostatnie osiągnięcie — „Anna proletariuszka" wskazuje na poważne obniżenie lotu. Z ciekawej i nie pozbawionej uroku prostoty powieści Olbrachta o walkach klasowych proletariatu czeskiego w latach 1918-20, ukazanych poprzez pryzmat losów dziewczyny ze wsi i młodego robotnika, wyszedł film o manifestacjach i zebraniach, pozbawiony ludzkiego ciepła i artystycznego prawdopodobieństwa (najbardziej tu „klasycznym" przykładem jest scena na ławce w parku — scena wyznania miłosnego przeplatanego gęsto terminologią ekonomiczno - polityczną). Reżyser filmu K. Stekly przed kilku laty stworzył jeden z najlepszych filmów czeskich — „Syrena" wg. powieści Majerowej. Wyższość dojrzałości ideowej „Anny proletariuszki" — Olbrachta nad „Syreną" niestety nie znalazła w filmowej adaptacji swej rekompensaty i jest wyraźnym ostrzeżeniem, że nie tędy droga.

Bardziej wartościową pozycją pod każdym względem jest „Porwanie". Aktualna tematyka dywersji imperialistycznej uzyskała przez sensacyjną formę większą siłę wyrazu. „Porwanie" ma wprawdzie miejscami naiwną i uproszczoną budowę dramaturgiczną, której nie ratują próby pogłębiania psychologicznego niektórych postaci. W całości jednak budowa filmu jest zręczna pod względem formalnym i posiada wyraźny szkielet fabularny. Dynamika narracji w dużej mierze pokrywa całą naiwność rekwizytów poetyki filmu sensacyjnego i sprawia, że przechodzimy koło nich bez dyskusji nad ich realistycznymi wymiarami. Istotną wartością „Porwania" jest umiejętność podporządkowania form sensacyjnych nowym społecznym treściom, które we współczesnych filmach czechosłowackich tego rodzaju nie zawsze dochodziły do głosu. Warto zatem przy okazji wspomnieć, że „Porwanie" jest dziełem młodych filmowców, którzy w Czechosłowacji coraz częściej dochodzą do głosu i tworzą coraz bardziej udane filmy.

J. Mach, realizator wyświetlanej przed rokiem dobrej sensacyjnej „Akcji B", prezentuje się obecnie jako autor komedii „Wczasy z Aniołem". Trzeba z miejsca uprzedzić rozczarowania czytelników i powiedzieć, że to jest cień komedii, bo te „Wczasy" — to formalna nuda, to film niewykorzystanych, a ogromnych potencjalnie możliwości. Spotkanie podczas urlopu różnorodnych typów ludzkich, charakterów, temperamentów, zainteresowań — to aż się prosi na ekran. A tymczasem bohaterowie wraz z Aniołem (bo tak właśnie nazywa się wczasowicz — praski tramwajarz) chodzą na nudne wycieczki, prawią sobie gładkie słówka, zmuszeni są przez realizatora do przeżywania wyimaginowanych konfliktów, podczas gdy takie jak sprawa poważnionego małżeństwa, przeobrażeń psychiki społecznej — załatwiane są poza ekranem i docierają do nas w formie zrelacjonowanej. Doprawdy, taki film — to antypropaganda wczasów!

Ale w cieniu cienia „Wczasów z Aniołem" stoi „Kobieta dotrzymuje słowa". To już jest kompletna abstrakcja, najlepszy przykład jaki można przytoczyć na obrazowanie życia zza biurka. Ludzie są jakby księżycowi, poruszają się niemal w kataleptycznym śnie, sprawy ich w tych wymiarach też są księżycowe. A chodziło przecież o sprawę równowartości pracy kobiet w przemyśle. Samo sięgnięcie do tego problemu, bez wyraźniejszego oznaczenia środowiska, bez dobrej gry aktorskiej i bez poczucia humoru — nie może wpłynąć na stworzenie dobrej współczesnej komedii. Trudno więc nawet dobre chęci zapisać na konto realizatorów.

Możemy powiedzieć bez fałszywej kurtuazji, że tegoroczna panorama filmu czechosłowackiego wygląda bardzo przeciętnie. Wieloletni kryzys naszych sąsiadów w dalszym ciągu trwa, a to jest dowodem dla naszych krajowych malkontentów, że z trudnościami borykamy się nie tylko my, ale również i większe kinematografie, lepiej wyposażone technicznie, bo wysokiego poziomu technicznego nie możemy odmówić filmowi czechosłowackiemu z pewnością. Przyczyna tkwi przede wszystkim w scenariuszu.

KONCERTY

„O akademickiej poprawności i artystycznej indywidualności"

RÓŻNE bywają koncerty dyplomantów, tak różne, jak szeroka jest skala ludzkich możliwości odtwórczych. Od wykonań zaledwie słabych, poprzez poprawność, mniejsze czy większe zdolności, aż do specjalnej dyspozycji, którą nazywamy talentem.

Mając stale do czynienia z koncertami absolwentów różnych PWSM i wmawiając sobie miłą dla krytyka zdolność obiektywnej oceny sytuacji — stwierdzić można istnienie dużej ilości mniej lub więcej zdolnych kandydatów na artystów, mających poza sobą długie lata pracy i mozołów technicznego przygotowania. Jednocześnie widać jednak, jak mało spotyka się takich, o których można by bez wahania powiedzieć „ma talent".

Jest rzeczą charakterystyczną, że gdy przy miernych zdolnościach rażą niesłychanie wszelkie nawet i drobne niedociągnięcia warsztatowej natury — prawdziwy talent ustawia od razu we właściwej proporcji zagadnienie „dzieła" i „środków". Nie znaczy to bynajmniej, aby wolno było nie doceniać znaczenia warsztatu w pracy artysty, należy jednak zawsze widzieć w technice konieczny „środek", a nigdy wymarzony „cel".

Dlatego właśnie wykonawca, który osiągnął perfekcję techniczną, a nie posiada talentu — może doprowadzić swój twór zaledwie do granic „nienagannej poprawności", natomiast każdy obdarzony bezsprzecznym talentem artysta potrafi narzucić słuchaczom własną koncepcję dzieła i chociażby nawet odbiegała ona od ogólnie przyjętych, nie tylko nie będzie nas razić, lecz przeciwnie, stać się może w apercepcji jeszcze większym przeżyciem. Nasycona osobowością prawdziwego artysty, nawet odrębna koncepcja wykonawcza gwarantować może wysoką wartość powstającego tworu.

Nie zamierzam oczywiście wygłaszać dytyrambu wyłącznie na rzecz „treści" z pominięciem „środków". Prawdziwy artysta, o którym tu pisałem, widzi swoje wady i zalety, a doskonałość osiąga dopiero wtedy, gdy zagadnienie środków jest już poza nim, już nie jest wyczuwalne, tak organicznie staje się podporządkowane treści.

Wdając się w te rozważania z dziedziny estetyki — usprawiedliwiam i jednocześnie analizuję wrażenia własne z koncertu. Wrażenia równie silne, jak może niespodziewane.

Znałem dotychczas Andrzeja Markowskiego zdolnego kompozytora, obdarzonego nieprzeciętnym muzycznym „esprit", słyszałem pianistę — nie przypuszczałem jednak, że uroda dził się on dyrygentem.

Od pierwszego do ostatniego taktu I. symfonii Szostakowicza trwaliśmy w nieprzerwanym napięciu. Orkiestra reagowała z sejsmograficzną dokładnością na każdy gest dyrygenta. Trzy strzały fortepianu w zakończeniu III części zawisły pośród sali w pełnej oczekiwania ciszy. I wreszcie finał allegro molto...

Szczery, młodzieńczy Szostakowicz znalazł pełną blasku, życia i nerwu interpretację. Już nie pamiętamy nieco akademickiego debiutanta z uwertury „Dwie chatki" Kurpińskiego (pierwsza pozycja programu), już nie rażą nas zbyt ostre może chwilami ruchy dyrygenta — słuchamy z zapartym tchem mądrze przemyślanej i przekonywająco podanej muzyki. Nie ma w partyturze miejsc pustych czy wątpliwych, każda zmiana tempa czy dynamiki znajduje swoje muzyczne uzasadnienie. Po wysłuchaniu symfonii wydaje się, że czas i praktyka z orkiestrą oszlifują najlepiej ruchy dyrygenta, a ich obecnej zdrowej i świeżej wyrazistości nie należy w żadnym wypadku krępować.

„Lepiej jest mieć (do czynienia) z dyrygentami, którzy wspaniale grają (wyraziście dyrygują) bez orkiestrowego doświadczenia, niż z dyrygentami mającymi orkiestrową praktykę, którzy nie grają tak dobrze" — stwierdza autorytatywnie znakomity dyrygent John Barbirolli.

Istnieje jeszcze jedna przyczyna, dla której wyraziłbym pogląd, że należy podejść specjalnie ostrożnie do korektury gestyki. Przyczyną tą jest fakt, że u wielu świetnych dyrygentów ich młodzieńcza „kanciastość" ruchów pozostała do lat najpóźniejszych, nazwali to jednak później „wnikli krytycy" — „czynnikiem wyrazu ich indywidualności artystycznej".

Zbyt widoczne walory Markowskiego przesłoniły nam drugą dyplomantkę — Halinę Łukomską (sopran). Bardzo trudna technicznie wokaliza (koncert na głos) Reinholda Gliera została wykonana przez nią czysto pod względem intonacji i prawie bezbłędnie interpretacyjnie. Niestety jednak całość nie wykraczała poza ramy poprawności.

Być może zresztą, że był tu także winien sam wybór utworu, zbyt lekkiego, szczególnie w swej drugiej części i nie mającego wbrew nazwie — charakteru koncertu.

Tak wyglądałaby pokrótce historia występu dyplomantów, który utrwalając wrażenie żywiołowej indywidualności jednego artysty, nie pozostawił już miejsca dla spokojnej, bezbłędnej poprawności — drugiego.

Antoni Górski

KILKA SŁÓW

o plastyce

SUKCES POLSKIEGO PLASTYKA

Plastyka polska odniosła ostatnio duży sukces na arenie międzynarodowej, na wystawie bowiem plastyków w Wenecji nagrodę UNESCO przyznano artyście polskiemu Tadeuszowi Kulisiewiczowi.

RADZIECKIE WYSTAWY PLASTYCZNE

W Domu Plastyków w Leningradzie otwarto tradycyjną wystawę prac miejscowych malarzy, rzeźbiarzy i grafików. Na wystawie znajduje się ponad 400 prac. Większość z nich przedstawia życie ludzi radzieckich, niektórzy malarze ukazali piękno rosyjskiej przyrody, a Tamara Pastuchowa, która niedawno wróciła z Chin, wystawiła obraz „Dżonki na rzece Chuanou" oraz portret uczennicy chińskiej.

Równocześnie w Moskwie otwarto pierwszą Wszechzwiązkową Wystawę Twórczości Artystycznej robotników i pracowników umysłowych. W trzech obszernych pawilonach wystawiono ponad 2 tysiące dzieł malarstwa, grafiki, rzeźby i sztuki dekoracyjnej.

o filmie

NOWE FILMY WCHODZĄ NA EKRANY

W lipcu i sierpniu br. na ekranach naszych kin ukaże się szereg nowych filmów.

Z filmów produkcji polskiej ujrzymy długo oczekiwany, barwny film fabularny pt. „Pościg", którego akcja toczy się w państwowej stadninie koni w Reglach. „Synowie ludu" — to następny średniometrażowy film dokumentalny produkcji polskiej.

Ci wszyscy, na których tak wielkie wrażenie wywarła sztuka M. Gorkiego „Wassa Żeleznowa", z zadowoleniem przyjmą wiadomość, iż będą mogli obejrzeć na ekranie filmową adaptację tej sztuki. Drugi film radziecki to także adaptacja filmowa sztuki teatralnej — komedii A. Ostrowskiego pt. „Las". „Mały przewodnik" — to tytuł filmu produkcji radzieckiej, przeznaczonego dla dzieci i młodzieży, który również ujrzymy na naszych ekranach.

Kinematografię Czechosłowacji reprezentować będzie film pt. „Wczasy z Aniołem".

Na ekranach naszych kin ujrzymy także film produkcji francuskiej pt. „Dzielnica cudów". Bohaterami tego filmu są dzieci proletariackie z dzielnicy paryskiej Montmatre.

Akcja filmu produkcji angielskiej „Zagubione dzieciństwo" rozgrywa się współcześnie w Wielkiej Brytanii.

o teatrze

ROCZNICĘ ŚMIERCI ROSENBERGÓW

uroczyście obchodzono w Paryżu. Na wieczorze w sali Pleyel w bogatej części artystycznej Danielle Delorme i Michel Vitold wykonali m. in. dialogi ze sztuki L. Kruczkowskiego „Juliusz i Ethel". W teatrze Monceau sztuka o Rosenbergach G. Soria pt. „Strach" przekroczyła w reżyserii T. Balachovej liczbę 50 przedstawień.

„OBSERVER" O RADZIĘCKIM BALECIE

Krytyk angielskiego „Observera" Sebastian Hathner stwierdził w swym sprawozdaniu z występów berlińskich baletu radzieckiego, że wywołały one powszechny entuzjazm zarówno wśród mieszkańców wschodniego jak i zachodniego Berlina. W repertuarze baletu Hathner rozróżnia: czysty balet klasyczny, artystyczny taniec ludowy oraz dramat taneczny. Jedynie w stosunku do ostatniej grupy repertuarowej zgłasza krytyk pewne zastrzeżenia, razi go tu nadmierny realizm i zbyt mały wkład artystycznego eksperymentu. Oceniając jednak całość radzieckiego artyzmu baletowego pisze: „Co do doboru i klasy artystów oraz co do techniki zespół ten zaćmiewa wszelki balet Zachodu... Ze wszystkich baletów Londynu, New Yorku i Paryża jeszcze nie udało się zestawić grupy, która dorównywałaby mu choćby w przybliżeniu".

W ROUEN, MIEŚCIE CORNEILLE'A

urządził paryski Théâtre National Populaire pod kier. Jean Vilara swój letni festiwal teatralny. Oprócz „Cyda" z Gérard Philipem w roli tytułowej i Sylwią Monfort w roli Szimeny wystawiono na renesansowym dziedzińcu Palais de Justice — „Cynnę" z Jean Deschamps. Vilar, który znakomicie wyreżyserował utwór, grał zarazem rolę Augusta udowadniając po Don Juanie na nowo, że jest równie świetnym aktorem jak reżyserem. Ukazał nieco melancholijną wielkość władcy, który po krwawych rzeziach pojął wreszcie, że również najwyższa dobroć może stać się wyrazem mądrości i nie zawieść rachuby polityka. Po Rouen TNP da tradycyjnie występy w Avignon.

DZIWACTWA AMERYKAŃSKIEGO TEATRU

„Sowietskaja Kultura" donosi za „Saturday Revue" o nowozałożonym amerykańskim teatrze Bakera i jego eksperymentach z „Otellem". Zapoznawszy się w Europie z ostatnimi „izmami" w sztuce Zachodu Baker postanowił zastosować je w sposób synkretystyczny we własnym teatrze. Każdą z głównych postaci sztuk rozbija się tu na jej elementy składowe. Np. na „Otella" składa się w ten sposób generał-kochanek, człowiek zazdrosny i barbarzyńca, na Jaga — sierżant, obłudnik i sadysta. Odpowiednio, daną postać obsługuje równocześnie kilku aktorów, nb. grających różnymi stylami: symbolistycznie, surrealistycznie itp. W sumie „nowy kierunek" wydaje się szczególnie złośliwą amerykańską kpiną z Szekspira.

MIMO SEZONU LETNIEGO

teatry francuskie wystawiają sztuki wielkiego repertuaru. W paryskim teatrze „Mathurins" Centre Dramatique de l'Ouest prezentuje w reżyserii i z rolą tytułową H. Gignoux — udanego „Mizantropa" Moliera (dekoracje J. Noël), podczas gdy w sali „Hébertot" Centre Dramatique de l'Est wystawia — słabiej wydobywając właściwy nastrój — „Mewę" Czechowa w przekładzie i reżyserii S. Magito (dek. R. Wogenscky). Na festiwalu teatralnym w Arras znany reżyser André Reybaz wystawia na dziedzińcu Palais Saint Vaast znakomicie „Wesele Figara" Beaumarchais, łącząc zręcznie lekkość konwencjonalnej intrygi miłosnej z ostrością satyry społecznej. Dekoracje R. Allio dobrze wykorzystały tło pałacu, Figara grał sam Reybaz przechodząc w tej roli od frywolności ku coraz większej głębi.

o wszystkim

WE FRANCJI NISZCZEJĄ ZABYTKI KULTURY

Jak doniosła ostatnio francuska prasa, na skutek braku funduszów, a co się z tym wiąże i braku konserwacji, jeden z najstarszych kościółków Francji, w Trucq, zawalił się.

Kościół ten został zbudowany w XVIII wieku i był zabytkiem jedynym w swoim rodzaju, ponieważ posiadał jeszcze słomiany dach.

NIEZNANE MANUSKRYPTY KARDYNAŁA NEWMANA

Francuski tygodnik katolicki „Actualité religieuse dans le monde" podaje, że klasztor O.O. Oratorianów w Birmingham posiada 250 nie wydanych dotąd manuskryptów kardynała Newmana. W przeważającej części są to kazania napisane gdy Newman był jeszcze anglikaninem, choć są także i pisma pochodzące z okresu nawrócenia tego wielkiego myśliciela na katolicyzm.

O.O. Oratorianie przygotowują obecnie zbiorowe wydanie tych pism, zaś klasztor O.O. Benedyktynów w Weingarten tłumaczy je na język niemiecki.

PIERWSZY FRANCUSKI KONGRES ARCHEOLOGII I ORIENTALISTYKI BIBLIJNEJ

zorganizowany przez André Parrot, konserwatora muzeum Luwru odbył się ostatnio w Saint Cloud. Pierwszy dzień był poświęcony asyrologii i egiptologii, drugi manuskryptom znalezionym w rejonie Morza Martwego, trzeci zaś poszukiwaniom prowadzonym w Mari. Miasto to istniało w czwartym tysiącleciu przed narodzeniem Chrystusa, dzięki zaś przeprowadzonym badaniom uczeni natrafili na wykopaliska sięgające aż do XVIII stulecia przed naszą erą.

Kongres archeologów francuskich, w którym także brali udział profesorowie szkoły biblijnej w Jerozolimie, wzbudził wielkie zainteresowanie wśród uczonych całego świata. Na Kongresie tym powzięto postanowienie zorganizowania francuskiego ośrodka badań nad Starym Testamentem.